Nr. 47. Poznań, dnia 25 Listopada 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Pierwszy proces „Pracy" o strajk szkolny.

(§ 110 kodeksu karnego).

Swoboda religijna w Prusach.

Wspomnienia społeczeństwa polskiego o królu pruskim Fryderyku II nie są miłe. Toż nie komu innemu, lecz Fryderykowi II. przypisuje historya pomysł — rozebrania Polski.

Krzywdy tej naród nasz nie zapomni nigdy. I kiedy mowa będzie o Fryderyku II. jako zaborcy Polski, naród polski i historya świata nazywać go będzie — krzywdzicielem Polski.

Sprawiedliwość jednakże nakazuje nam uznać w Fryderyku II., nie tylko króla na tronie pruskim niezwykłego, ale i człowieka, którego okręg myślowy sięgał daleko po za obręb intryg dworskich.

Ten to król pruski Fryderyk II. wypowiedział słynną zasadę: *w mojem państwie ma być wolno każdemu według własnego sposobu starać się o zbawienie.*

Wypowiedziana tutaj zasada zawiera jak najszersze uznanie swobody religijnej i wolności przekonań religijnych.

To swoje przekonanie Fryderyk II włączył w artykuły starego prawa pruskiego t. zw. landrechtu.

Przyzając swobodę religijną, przyznawał oczywiście tem samem Fryderyk II prawo swobodnego wyboru wyznania, prawo wychowywania i pouczania religijnego. Prawo to pruskie prawo (stare, krajowe) przyznaje wyłącznie rodzicom.

Niestety! — zmieniają się czasy, zmieniają się ludzie, zmieniają się rządy.

Zmieniły się zasady swobody religijnej w Prusiech. Kulturkampf najoczywistszym tego i niezbitym dowodem. A choć przez kulturkampf rząd pruski poniósł na polu religijnem ciężką porażkę, jednakże ciasnego, nietolerancyjnego stanowiska pod względem religijnym już nie opuścił.

Zniesiono wprawdzie prawie wszystkie wyjątkowe prawa z ery kulturkampfu, zniesiono je — dla Niemców-katolików. My Polacy z drobnemi przerwami cierpimy i dziś pod tymi samymi ciasnymi poglądami w sferach rządowych na wiarę i Kościół, jakie wywołały w latach ośmdziesiątych kulturkampf.

Pamiątki kulturkampfu.

Rozporządzenie ministra *Falka* z r. 1873, dotyczące nauki religii w dzielnicach polskich, to nie innego, tylko pozostałość kulturkampfu, to pamiątka kulturkampfu.

Do r. 1873 żadnemu z ministrów ani królów pruskich nie śniło się, zakazywać Polakom albo ich dzieciom — uczyć się religii w ojczystym języku. Dopiero kulturkampf zrodził myśl takiego zakazu. To też inaczej zakazu tego nazwać nie można, jak zamachem — i na wiarę katolicką polskiego ludu i na polskość tego ludu. Zakaz ten więc za jednem pociągnięciem pióra — do dwojakiego zmierzał celu: osłabienia wiary i osłabienia polskości w ludności naszej.

Co dziwniejszą, zakaz ten wydany został na mocy rozkazu królewskiego, który na wyraźne życzenie Wilhelma I pozostał *tajnym.* Sam więc król Wilhelm I, choć rozkaz odpowiedni wydał, nie chciał, ażeby go publikowano, okazując tem samem, że nie chce, ażeby go *wykonywano.*

Stało się atoli inaczej. Minister Falk wydał do naczelnego prezesa prowincyi poznańskiej odpowiednie rozporządzenie, które tenże od siebie zakomunikował rejencyom poznańskiej i bydgoskiej, a rejencye od siebie władzom szkolnym.

Jakiż to ów rozkaz — jakie to rozporządzenie?

Ów rozkaz gabinetowy królewski, który do ostatnich czasów pozostawał w tajemnicy, brzmi:

„Nauka religii i śpiewu kościelnego udzielana będzie dzieciom w języku ojczystym.

Gdzie dzieci polskie w nauce języka niemieckiego postąpiły tak daleko, że dobre zrozumienie przedmiotu da się osięgnąć także przez wykład w języku niemieckim, tam wykład ten w wyższych oddziałach ma być wprowadzony. Rozstrzygnięcie, gdzie się to stać ma, należy do regencyi".

Na mocy tego rozkazu wydał minister Falk następujące rozporządzenie, które przez naczelnego prezesa regencyi wydane zostało regencyom i publikowane w urzędowym orędowniku szkolnym. Brzmi ono tak:

„Wykład nauki religii i śpiewu kościelnego dla dzieci polskich odbywać się będzie w języku ojczystym. Jeżeli jednakże dzieci te język niemiecki na tyle poznają, że *dobre zrozumienie* będzie możliwe także w wykładzie niemieckim, ma być religia *za pozwoleniem* regencyi w języku niemieckim zaprowadzona w oddziale *wyższym i średnim*".

Zwracamy tutaj uwagę na różnicę rozkazu króla i rozporządzenia ministeryalnego: w pierwszym mowa jest

tylko o „wyższych oddziałach" — w drugiem o „wyższym i średnim oddziale". W drodze z Berlina do Poznania rozkaz królewski został niesłusznie zmieniony — na *niekorzyść* naszą.

Jak atoli tłómarzyć sobie należy nawet owo rozporządzenie naczelnego prezesa?

Wypowiada ono

— naczelną zasadę —

że „wykład nauki religii i śpiewu kościelnego" dla dzieci polskich ma być *polskim*.

Czy tej zasady regencya i władza szkolna się trzymały? Głoszą obecnie półurzędowe pisma niemieckie, że na 1100 szkół w obwodzie poznańskim tylko (!) w 300 szkołach nauka religii odbywa się w języku niemieckim i to przeważnie w oddziale wyższym.

Nasze wiadomości mówią co innego. Według naszych wiadomości władze szkolne tę naczelną zasadę dawno przełamały. Nie dość, naczelną zasadą tych władz było — uczyć religii po niemiecku wszędzie, gdziekolwiek się to upozorować da tym lub owym sposobem.

I tak znane nam są szkoły, gdzie niema ani jednego niemieckiego dziecka, gdzie dzieci po niemiecku nie umieją, a jednak naukę religii zaprowadza się powoli po niemiecku, bo do szkoły uczęszczają także dzieci nauczyciela. A ponieważ dziś urzędnik każdy stęplowany jest na Niemca, więc choć dzieci nauczyciela-Polaka polskiemi są, dla władz szkolnych są one niemieckiemi i tworzą dla nich pozór, pod którym wprowadza się do religii wykład niemiecki.

Władze szkolne więc odstąpiły od zasady, wypowiedzianej przez króla, władze szkolne zasadę tę podeptały nogami, okazując w ten sposób brak szacunku — dla zasad królewskich.

Prawda, że rozkaz królewski dozwala na wyjątki, ale wyjątki te określone są

takimi warunkami,

że sam minister Falk uspakajał skarżących się na krzywdę tę posłów polskich: „nie obawiajcie się, zanim rozkaz ten zostanie zastósowany, miną dziesiątki lat. Ściśle biorąc, nie powinien być zastósowany wcale!"

Tak mówił minister Falk w roku 1873. A mówił to — na podstawie *zastrzeżeń* zawartych w rozkazie królewskim. Te zastrzeżenia opiewają, że nauka religii tylko wtenczas może być wykładana po niemiecku — jeżeli dzieci polskie *„dobrze"* ją będą *„rozumieć"*.

Mają więc wszystkie dzieci niemiecką naukę religii — dobrze rozumieć! Czy tak jest? — Ośmielamy się twierdzić, że i dzieci dobrze mówiące po niemiecku — *nauki religii* dobrze nie rozumieją! Gdyby więc władze szkolne postępowały sobie *sumiennie*, dziś w dzielnicach polskich całego obszaru zaboru pruskiego, a więc w W. Ks. Poznańskim, w Prusach Zach. i na Warmii, na Śląsku i w Prusach Wsch. — nauka religii odbywaćby się powinna *po polsku!*

Ale nie dość tego zastrzeżenia. Rozporządzenie wyraźnie żąda — *zezwolenia* regencyi.

Takich zezwoleń — konstatujemy to jako fakt — do procesów pierwszych w sprawie strajku *nikt nie znał*. Nie znali ich rodzice, nie znali redaktorzy polscy, nie znał nawet sąd, gdyż w wstępnym terminie dnia 3 b. m. uchwalił zażądać od regencyi urzędowej w tym względzie informacyi. A jednak rozporządzenia takie były — regencya wydawała je *tajnie!*

To widocznie miał oskarżyciel publiczny — prokurator na myśli, gdy w oskarżeniu swojem wywodził, że władze szkolne wprowadzały do nauki religii język niemiecki — *ostrożnie*.

Początek strajku szkolnego

sięga wieści, jakie pojawiły się na Wielkanoc, że w szkołach ma być zaprowadzony język niemiecki na *najniższych* oddziałach.

Wiadomość ta wstrząsnęła duszą naszego społeczeństwa. Przyglądało ono się dotąd spokojnie całej polityce germanizacyjnej — spokojnie zniosło komisyę kolonizacyjną, spokojnie zaprowadzenie języka niemieckiego w urzędach, w szkole, spokojnie nowelę osadniczą, pozbawiającą je prawa budowania sobie domu i dachu nad głową. Struna cierpliwości pękła, gdy z jednej strony rzucono nam w twarz kalumnię, że żywioł kryminalistyczny wśród nas się wzmaga, t. zn. że coraz większa staje się liczba polskich przestępców, a z drugiej strony: — niszczono podstawy moralności społecznej, pozbawiając dzieci nasze polskiej nauki religii w szkole.

Obrażona duma narodowa i głębokie uczucie religijne popchnęło ludność polską do strajku szkolnego.

Po stronie ludności stanęła prasa, stanęło duchowieństwo, stanął ks. Arcybiskup.

I cóż się wykazało? Wykazało się przedewszystkiem, że udzielanie nauki religii na najniższym oddziale jest *bezprawiem*, że zaprowadzenie tej nauki na oddziale najniższym działo się dzięki — *samowoli* panów inspektorów, albo panów nauczycieli.

Regencya pozwolenia na udzielanie religii w języku niemieckim na najniższym oddziale wydać nie mogła, bo nie miała do tego *prawa*.

Ale strajk szkolny zwrócił się przeciwko niemieckiej nauce religii na *wszystkich* stopniach.

Stąd procesy, — stąd kary.

§ 110

„Kto publicznie wobec tłumu ludzi, albo kto przez rozszerzanie lub publiczny napis albo przez publiczną wystawę pism lub w inny sposób nawołuje do nieposłuszeństwa wobec praw lub prawnych rozporządzeń lub też zarządzeń władz wydanych w granicach ich kompetencyi, ma być karany grzywną aż do 600 marek, albo więzieniem aż do dwóch lat."

Tak oto brzmi ten słynny paragraf kodeksu karnego, na mocy którego gazetom polskim dziś już wytoczono około 100 procesów.

Jądro kwestyi w tem: czy władze szkolne wydały odnośne *zarządzenia* — a powtóre: czy wydanie tych zarządzeń należało do *kompetencyi władz szkolnych*, czy władze te miały prawo je wydawać?

Podkreśliliśmy już fakt, że do dn. 3 b. m., a więc aż do pierwszego, że tak powiemy wstępnego procesu, i to przeciwko „Pracy" i „Gońcowi" takich zarządzeń nie znał — ani pan *prokurator*, ani oskarżeni redaktorzy p. Idzi Świtała i p. Winc. Szpotański, ani obrońcy ich pp. mec. *Drwęski* i mec. Dziembowski, ani nawet — sąd. Sąd uchwalił przeto zażądać odnośnych informacyi u regencyi i okazało się, że takie zarządzenia istnieją na prawdę.

Pozostało tylko rozstrzygnięcie pytania: czy zarządzenia te były prawomocne?

Zarządzenia te oczywiście mogły być tylko wydane na podstawie owego rozkazu gabinetowego Wilhelma I, podpisanego przez ministra Falka z r. 1873.

Czy rozkaz ten jest *prawomocny?*

Do prawomocności gabinetowego rozkazu jest rzeczą konieczną, ażeby był — ogłoszony *publicznie*. Rozkaz ten atoli pozostawał do ostatniego czasu w tajemnicy.

Prawnicy polscy, a między nimi i obrońca oskarżonego o wykroczenie przeciwko § 110 redaktora „Pracy" p. Idziego Świtały — *pan mecenas Drwęski* stoją na tem stanowisku, że *tajny* rozkaz gabinetowy *nie jest prawomocny*, że wobec tego i rozporządzenie prezesa naczelnego z r. 1873 *nie jest prawomocne*, że *nie są prawomocne* zarządzenia władz szkolnych — wprowadzające język niemiecki do nauki religii.

Na poparcie tego swojego zapatrywania przytoczył p. *mec. Drwęski* prawo z r. 1872, które księżom wyraźnie gwarantuje prawo *dozorowania nauki religii w szkole*, dalej że *zasadą* jest kościoła św. uczyć religii w języku ojczystym, że zasadę tę przed sądem zaprzysiądz gotowi najwięksi dostojnicy kościoła katolickiego u. p. N. ks. Arcybiskup Stablewski, ks. kardynał Kopp z Wrocławia i ks. biskup dr. Rosentreter z Pelplina.

Pomimo wszystkiego wyrok wypadł niepomyślny, skazujący redaktora naszego

na 1 miesiąc więzienia.

Przebieg procesu.

Już to „Praca" nie może narzekać na brak opieki ze strony władz i szczególnie ze strony prokuratora.

A jednak rok prawie minął od czasu ostatniego procesu.

Dnia 25 listopada 1905 r. stawał przed II izbą karną w Poznaniu p. *Maciej Wierzbiński*, następca p. dr. *Kazimierza Rakowskiego* na zaszczytnem ale i odpowiedzialnem stanowisku naczelnego redaktora „Pracy". Za artykuły „niebezpieczne ambicye Niemiec" skazany został na

półtora roku więzienia.

W chwili gdy ten numer „Pracy" z sprawozdaniem o najświeższym procesie dojdzie do rąk czytelników — święcić nam trzeba smutną rocznicę uwięzienia p. Macieja Wierzbińskiego.

Mamy sobie za miły obowiązek w dniu tym wraz z czytelnikami naszymi więźniowi za sprawę narodową przesłać serdeczne życzenia: wytrwałości i zdrowia. Niech mu Bóg zachowa siły, aby po odzyskaniu wolności mógł dalej pracować na niwie narodowej.

Lecz wracajmy do najświeższych ofiar....

Przybyszom poznańskim nie łatwo odnaleść budynek sądowy, pomimo, że zajmuje on dużą część jednej z głównych ulic Poznania, ul. Wilhelmowskiej. Obok znajduje się komendantura wojskowa. Dwie więc najwyższe władze — cywilna i wojskowa sąsiadują ze sobą.

Sąd odbywa się na piętrze, na sali sądów przysięgłych. Sala to duża, z przodu kilka okien wysokich, obszerny stół sędziowski, zielony. Obok z prawej strony stół dla prokuratora — niedaleko ława oskarżonych — i miejsce dla obrońców.

Na ławie oskarżonych — p. Idzi Switała, na ławie obrońców — p. mec. *J. Drwęski*.

Oskarżenie opiewa, że w artykule z nr. 34 pod tytułem: co robić — oskarżony nawoływał rodziców i dzieci do strajku szkolnego. Nawoływania tego dopatrzył się p. prokurator w ustępach, w których oskarżony radzi rodzicom, ażeby broniąc dzieci swe od chłosty — sami zakazywali odpowiadać na pytania w religii po niemiecku.

Oskarżony broni się tem, że rady tej rodzicom udzielić musiał wobec faktów, że nauczyciele wypytywali się dzieci, dla czego nie odpowiadają po niemiecku w religii. Skoro zaś dzieci odpowiadały, że *same* ze siebie to czynią, nauczyciele karali je — za nieposłuszeństwo. Chcąc pozbawić nauczycieli pozoru do bicia dzieci za nieposłuszeństwo na lekcyi religii — a właściwie za strajk, trzeba było sprawę postawić jasno.

„Jakto, więc Pan przeczy, że Pan tym artykułem nawoływał do strajku?"

„Strajk — odpowiada oskarżony — istniał już od tygodni całych, kiedy artykuł ten w „Pracy" się ukazał.

„Ale — pyta przewodniczący — Pan nie przeczy, że artykuł Pański nawołuje wprost do nieposłuszeństwa i rodziców i dzieci wobec rozporządzenia ministeryalnego?

„Zamiaru takiego nie miałem — broni się oskarżony.

Na to wstaje prokurator i zwraca sądowi uwagę na te ustępy w artykule, które jego zdaniem są karygodne, a mianowicie na ustęp, w którym powiedziano, że: „rodzice powinni sami wyraźnie zakazać odpowiadać na niemieckie pytania w religii, zakazać odmawiać pacierza", — że: „dzieci mają nie odpowiadać, lecz milczeć", — że: „groźby, że dzieci przetrzymane zostaną do 16 roku w szkole, przeważnie pozostaną bez skutku, jeżeli rodzice postępować sobie będą solidarnie i jednolicie",—że: „rodzice pamiętać powinni, że za dusze dziecka tylko oni wobec Boga są odpowiedzialni — powinni więc tej duszy bronić *wbrew* prawom państwowym i *przeciwko* szkole pruskiej", — że: „gdy będziemy nieugięci, nie zachwiejemy się w obronie polskiej nauki religii ani na chwilę — ruch ten obejmie całe społeczeństwo".

Szczególnie w tych ustępach dopatruje się p. prokurator przestępstwa przeciwko § 110 i wnosi dla p. Switały:

o sześć miesięcy więzienia,

ponieważ „Praca" znaną jest jako pismo radykalno-polskie, i ponieważ oskarżony posiada wykształcenie takie, że musiał sobie zdawać sprawę z tego co czyni.

Pan mecenas *Drwęski* broni krótko, jasno i ściśle rzeczowo, tej też znakomitej obronie oskarżony ma do zawdzięczenia, że sąd, choć nie przyznał mu żadnej okoliczności łagodzącej, skazał go tylko na 1 miesiąc więzienia.

Wyrok.

Powiedzieliśmy już wyżej, o co rzecz się właściwie toczyła, mianowicie: czy władze szkolne są *kompetentne* do zmian języka wykładowego w nauce religii w szkole.

Powiedzieliśmy także, że rozkaz gabinetowy króla Wilhelma I pozostał w tajemnicy — że prawnicy nasi na podstawie wyroków sądu rzeszy twierdzą, że rozkaz ten nie jest prawomocny, ponieważ nie był publikowany — wreszcie że rozkaz ten sprzeciwia się zasadom kościoła i gwarancyom, jakie rząd nadał kościołowi pod względem nadzoru nauki religii w szkole.

Wbrew tym wywodom sąd wydał wyrok skazujący, uzasadniając go tem, że: szkoły są instytucyami *państwowemi*, a choć kościołowi prawo przyznaje nadzór nad nauką religii, to nadzór ten nie sięga tak daleko, ażeby kościół szkole mógł przepisywać, w *jakim języku* ma ona uczyć dzieci religii.

Sąd więc uznał prawomocność rozporządzenia naczelnego prezesa z jednej strony, a z drugiej odmówił kościołowi prawa mieszania się do tego, w jakim języku szkoła religii uczy.

W sprawie wyroku tego wniesiona zostanie rewizya do sądu rzeszy do Lipska. W kołach prawników naszych wielkie panuje zaciekawienie, co sąd rzeszy w tej sprawie zawyrokuje.

Jak dotąd sprawa jest wątpliwą: czy rząd ma racyę, czy nasi prawnicy.

Z Warszawy wieczorem.

„W dzień Świętego Saturnina,
„Z Warszawy wieczorem,
„Wypędzono Moskwicina
„Z całym jego dworem.

W. Pol.

Z Warszawy wieczorem popłynęła pierwsza wieść o powstaniu.

Z Warszawy wieczorem szli pierwsi bohaterowie na Belweder, ażeby Wielkiego Księcia Konstantego ująć w swe ręce.

Z Warszawy płynęły tłumy ludu na ulicę Bielańską, gdzie im rozdawano broń z arsenału.

Z Warszawy też rano o 6-tej Wielki Książę Konstanty cofał się wstecz i — aż po za rogatki Mokotowskie wymknął się.

Tak było w pamiętnym dniu 29 listopada, kiedy szkoła Podchorążych rozpoczęła walkę za wolność narodu.

A chociaż od tej pory lat tyle mi

nęło, chociaż tyle ciężkich strat i bolów głębokich poorało Ojczyznę naszą w szerz i wzdłuż, jednak wspomnienie jasnego tego dnia 29 listopada nic nie zamgliło, ani nie zatarło.

Ilekroć zbliża się ów dzień, zapisany na kartach historyi, tylekroć zdaje się, z Warszawy wieczorem niby płynie wielkie wołanie, niby jakieś echa wspomnień dzwonią, niby hasła brzmią podniosłe i święte, wzywając naród do rozważania nad tem, czem jego życie obecne, jakie obowiązki wobec jutra i przyszłości.

Z Warszawy wieczorem, jak śpiewa Pol, „wypędzono Moskwicina z całym jego dworem", a uczyniono to nie siłą armii potężnej, lecz siłą zapału garstki, która nie dała się spętać i ujarzmić.

Z Warszawy wieczorem poszła pierwsza wieść po kraju o wybuchu powstania, a gdzie uderzyła skrzydłem swem jasnem, tam stawali obrońcy do walki gotowi i tam zapominano o wszystkiem swojem, byle oddać wszystko Ojczyźnie.

Jedna chwila — jeden czyn odwagi a naród staje do walki strasznej i udowadnia wszystkim siłom Dybicza, Geismara, Paszkiewicza i innych, iż każdy Polak zdolny jest do wielkiego poświęcenia dla Ojczyzny.

Dzień 29 listopada 1830 roku jak zorza promienna błysł i serca Polaków w jasności bohaterskiego poświęcenia przed Europą postawił.

Nie zatrze jego daty czasu pochód długi. Nie przekreśli jego znaczenia nowych wypadków burza i wichura. Nie zapomną o nim Polacy, choćby im nowych dat i wielkich czynów przybyło do wieńca chwały.

A ci, którzy w obecnej dobie słyszą jak wspomnień wołania płyną z Warszawy — wieczorem — niech rozważą, do czego ich wzywa powinność obywatelska i prawo narodowe.

— Na Belweder! nie wołają szlachetni obrońcy, ale Polska woła: — do pracy, do oświaty! do wspólnego łączenia się w imię miłości Ojczyzny!

— Nie wołają pod arsenał do rozdania broni, ale wzywa naród i obowiązek obywatelski do zakładania czytelń i rozdawania książek, do poznawania dziejów Polski, do wyrabiania silnego ducha, który zdoła wytrwać w długiej, bezbronnej walce!

Nie sypie się szańców jak ongi dla obrony Warszawy, ale się wypiera cudzą mowę, cudze wpływy, cudze szyderstwa i wyśmiewania, cudze pieniądze, które chcą wykupywać Polskę, gdy jej zabić nie mogą, a to razem wszystko wykonywane stale i wytrwale jest obrona życia narodu i w kartach historyi zostanie zapisane jako czyn godny imienia Polaków...

W 31 roku Polska dowiodła, iż żyje i ma siłę olbrzyma. Teraz — dowodzi dziatwa nasza, iż polskie ma serce i dusze nie zatrute..

Więc niech płynie wieść do Warszawy — wieczorem, wieść o tem, iż żyjemy i żyć będziemy... bo naród, którego dzieci tak o język i wiarę walczą — zaginąć nigdy nie może!...

Z Warszawy wieczorem wypędzono Moskwicina z całym jego dworem....

Warszawo!.. wierz i ufaj, że przyszłość przyjdzie w rozświcie wolności, a męczeństwa ludu polskiego nie pójdą na marne, jak mgła wieczorna.

Iskra.

W przededniu wyborów w Królestwie.

(Korespondencya własna „Pracy")

Warszawa, 19-go listopada.

A więc jesteśmy w przededniu nowych wyborów do Izby. W Warszawie i miastach prowincyonalnych już ukazały się plakaty uliczne, powywieszane przez magistraty, a wyjaśniające prawo wyborcze i sposób zabezpieczenia sobie swego prawa. W dziennikach wznowiono rubrykę „Wybory" i nawoływanie „wyborcy, już tylko tyle a tyle dni pozostało — śpieszcie po odebranie legitymacyi i t. d." Słowem — to samo, cośmy widzieli w kwietniu r. b. I chociaż termin wyborów jeszcze nie oznaczony, z formalnościami spieszyć się trzeba, gdyż jutro właśnie listy wyborcze mają być zamknięte; nikt, do nich nie wpisany, głosować później nie może, chociażby prawo na to posiadał. Można przypuszczać, że same wybory odbędą się wkrótce po Nowym Roku. Jak dotąd, wyborczej agitacyi nie widać, zebrań nie było ani jednego, o kandydatach na posłów ani słuchu, choć wiem skądinąd, że nie wszyscy dotychczasowi posłowie starać się zamierzają o mandat wyborczy. Pomiędzy innymi ustępuje podobno ks. Gralewski, bawiący dzisiaj w Ameryce dla studyów nad szkolnictwem tamtejszem, hr. Tyszkiewicz i 3—4 posłów z prowincyi. Co zaś się tyczy stanowiska partyi, to Polska partya socyalistyczna upiera się po dawnemu przy bojkocie wyborców, chociaż przymusu w kierunku tym wywierać nie ma zamiaru. Wszystkie zaś inne odłamy socyalizmu naszego: Socyal demokracya. Proletaryat a nawet Bund żydowski udział w wyborach wezmą — w sojuszu pewno z demokracyą postępową —aczkolwiek widoków przeprowadzenia swych kandydatów nie mają prawie żadnych. Utrudnić mogą jedynie akcyę stronnictwa demokratyczno-narodowego.

Stronnictwo to jest po dawnemu panem położenia. Tym razem jednak z przewagi swojej w całości nie chce korzystać i do Koła Polskiego celowo dopuści pewną ilość żywiołów stojących po za stronnictwem, byleby narodowo usposobionych, uznających konieczność solidarności Koła Polskiego oraz, rzecz prosta, autonomii Królestwa. O ile na to ostatnie hasło godzą się u nas wszyscy, o tyle solidarność bezwzględna Koła Polskiego w Izbie posiada przeciwników w postaci Demokracyi Postępowej. Uważa ona, że „postępowi" członkowie Koła, związani zasadą solidarności, będący w mniejszości, zostaną przegłosowani stale przez większość narodowo-demokratyczną i przez to zmuszeni popierać niemiłe sobie wnioski Koła w Izbie, słowem zrzec się zupełnie roli samodzielnej. Wspólna też akcya żywiołów narodowych z dem. postępową nie zdaje mi się możliwą, zwłaszcza ze względu na żydowski charakter tego stronnictwa; natomiast sojusz z *polską partyą postępową*, posiadającą w swem łonie sporo żywiołów szczerze narodowych, a jednostek wybitnych, partyą, uznającą stanowczo solidarność Koła — sojusz z tą partyą jest nietylko możliwym, ale i pożądanym. Nawet z realistami porozumienie wyborcze wykluczonem nie jest, skoro uznano, że przedstawicielstwo Królestwa w Izbie rosyjskiej powinno być nie ściśle partyjnem, lecz ogólno-narodowem. Realiści posiadają w swem gronie sporo jednostek zdolnych, z których niejedna zasiadać by mogła w Kole z pożytkiem dla sprawy narodowej.

Wybory obecne odbędą się w nieco zmienionych warunkach, niż pierwsze. Otóż tym zmianom pragnę poświęcić słów kilka.

Od początku samego wyraźnem było, że rząd, rozwiązując pierwszą Izbę dla jej zbyt opozycyjnego nastroju, posiada jakiś sposób zapewnienia sobie bardziej przychylnego przedstawicielstwa narodowego. Przypuszczano pierwotnie, że to nastąpi drogą zmiany ustawy wyborczej, co, jak wyjaśniałem, byłoby oczywistem bezprawiem (ustawę wyborczą zmienić ma prawo jedynie Izba). Do tego jednak rząd się nie poważył posunąć, natomiast użył środka innego, na pozór prawu nie przeciwnego; zmienił faktycznie ustawę wyborczą drogą t. zw. wyjaśnień senatu.

Senat „wyjaśnił," że robotnicy w miastach, posiadający dotąd prawo wyborcze z racyi zajmowania mieszkań na swoje imię, głosować mogą tyl-

ko w kuryi robotniczej, zwykłego zaś prawa wyborczego są pozbawieni, chociaż przy pierwszych wyborach z niego korzystali na równi z mieszkańcami innymi.

Co ma na celu to wyjaśnienie? Otóż po prostu pozbawienie prawa wyborczego najbardziej demokratyczną, najwięcej wrogą rządowi część społeczeństwa. Czem bowiem jest ta kurya robotnicza? Otóż fabryki, posiadające conajmniej 50 robotników, wybierają 1 prawyborcę, prawyborcy zaś robotnicy z fabryk wszystkich łącznie wybierają wyborców do zebrania miejskiego w Warszawie i Łodzi, a gubernialnego w innych miastach Królestwa. Jeżeli uprzytomnimy sobie, że na ogólną liczbę n. p. 80 wyborców m. Warszawy (walmanów) kurya robotnicza dostarcza tylko 3, to zrozumiemy, że dzięki wyjaśnieniom senatu klasa robotnicza w większości swojej jest usuniętą od wpływu na wybory. Ten sam mniej więcej stosunek zachodzi w miastach innych, uniemożliwiając wprost robotnikowi wyjście z urny wyborczej. Przy pierwszych wyborach każdy mieszkaniec miasta, posiadający mieszkanie na własne imię, miał równe prawo wyborcze, i dzięki temu robotnicy Warszawy i Łodzi mogli poważnie wpłynąć na wynik wyborów. Jakoż wpłynęli o tyle, że w ostatniej chwili uratowali Warszawę przed przewagą żydowską. Czy dziś przeto zdołamy przeprowadzić z Warszawy i Łodzi posłów narodowych? Obawa jest poważniejsza, niż przy wyborach pierwszych.

Również i na prowincyi to ograniczenie wyborcze dać nam się może we znaki. Tam jednak ratuje nas pośredniość wyborów. Jak już wyjaśniałem kiedyś, wyborcy ziemian i włościan w gubernialnych zebraniach mają przewagę tak wielką, że gdyby nawet miasta wybrały samych żydów, to i tak przejście posła Polaka z prowincyi (prócz Suwałk) jest rzeczą absolutnie pewną. Jedynie zmniejszyć się mogą szanse wyborcze polskiej inteligencyi miejskiej.

Lecz nie na tem jedynie polegają zaprowadzone przez senat ograniczenia prawa wyborczego: od wyborów w myśl jego wyjaśnień jest usuniętą cała klasa *gospodarzy włościańskich*, którzy nabyli ziemię od banku włościańskiego za jego pieniądze. To ograniczenie jednak nie dotyczy Królestwa Polskiego, a *tylko Rosyi* wraz *z krajem zabranym;* i tam jest korzystnem dla nas (na Rusi) o tyle, że zwiększa szanse wyborcze polskich właścicieli ziemskich przez zmniejszenie liczby wyborców-włościan rusińskich.

Z *Litwy i Rusi* nadchodzą wieści pomyślne o tyle, że tamtejsze społeczeństwo polskie wobec zbliżających się wyborów zamierza stanąć silnie na gruncie narodowym, na gruncie łączności z Koroną. Dotychczasowi polscy posłowie litewsko-ruscy ustąpią miejsca innym, dla których miarodajnym będzie tylko interes narodowy polski. Polityka „tutejszości," którą nazwę przybierali posłowie, niechcący się wprost przyznać do haseł polskich i pochodzenia polskiego, ta polityka należeć już bodaj wkrótce będzie do historyi, (patrz „Praca" — artykuł „Działalność koła terytoryalnego w Izbie rosyjskiej"). W *Wilnie* utworzył się Polski komitet wyborczy, a zjazd ziemian Polaków w *Kijowie* stanął wyraźnie na gruncie narodowym.

Nowi posłowie z Litwy i Rusi, o ile nie wstąpią do Koła Polskiego, utworzą drugie Koło, ale pozostające z pierwszem w ścisłym związku i w sprawach polskich zobowiązane do całkowitej solidarności z Polakami z Królestwa. Jest zresztą nadzieja, że utworzenie jednego Koła Polskiego na cały zabór rosyjski da się tym razem przeprowadzić.

Naturalnie, że i porażki w rodzaju Kowna lub Grodna mogą się i obecnie powtórzyć, to też nielada taktu, zręczności i pracy będzie potrzeba ze strony naszej, by zdobyć na Litwie i Rusi przynajmniej 30 mandatów polskich do Izby.

Do nowych wyborów przystępujemy ze znacznie mniejszym zasobem nadziei i entuzyazmu, jaki towarzyszył całej naszej akcyi wyborczej w kwietniu. Gorzkie doświadczenie nakazuje mniejszą nadzieję pokładać w Dumie rosyjskiej. Dużo wody upłynie w Wiśle i Newie, zanim w państwie rosyjskiem przyjąć się zdoła świeżo zaszczepiony parlamentaryzm.

Spełniamy tylko swój obowiązek, nakazujący nie zaniedbać niczego w celu naprawienia nieznośnych dzisiaj stosunków politycznych, i żywy udział przyjmiemy w parlamentaryzmie rosyjskim.

Wreszcie, same wybory są znakomitym środkiem politycznego uświadomienia szerokich warstw ludu. Przy pierwszych już przyniosło ono wielkie postępy.

Wyborom w Rosyi poświęcę list osobny. *Sarmata.*

Stronnictwa ludowe w Galicyi.

(Własna korespondencya „Pracy.")

Lwów, 17-go listopada.

II.

Aby módz odpowiedzieć na pytanie, jakim jest program polityczny „centrum ludowego", trzeba wziąć pod uwagę czas, w którym ono powstało i jakie odcienia polityki chłopskiej weszły w jego skład.

Ruch wszechniemców pod hasłem odłączenia się od Rzymu i hasło liberałów niemieckich rewizyi prawa małżeńskiego, obudziło czujność świata katolickiego w Austryi. W ślad za tem poszło i zwrócenie uwagi biskupów galicyjskich na agitacyę żywiołów radykalnych na wsi, gdzie jednak agitacya za rewizyą prawa małżeńskiego przeniesiona przez obóz socyalistyczny do miast, nie odbiła się nawet słabem echem. Pobudkę do wzięcia udziału w życiu politycznem ludowem przez duchowieństwo dał krakowski kardynał Puzyna, za którym mają stać bardzo silnie jezuici. Wprowadzenie w czyn tej myśli przyszło tem łatwiej, że w Krakowie był już katolicki obóz polityczny, wydający pisma ludowe kolportowane w kościele przez służbę kościelną. Niebył on jednak ściśle zorganizowany.

Równocześnie za wpływem biskupa przemyskiego Pelczara uchwalili biskupi zniewolić podwładne duchowieństwo do wzięcia udziału w pracach społecznych wśród ludu.

Dwie te akcye rozpoczęte niemal równocześnie tak się jednak zmieszały ze sobą, że trudno je od siebie odróżnić, zwłaszcza, że duchowieństwo w Galicyi zachodniej chętniej jęło się roboty politycznej, jakkolwiek potępionej prawie przez Papieża, przenosząc ją często na teren działania ekonomicznego. Nie wymaga ona systematycznego i ciągłego wysiłku jak tego wymaga często prowadzenie kasy pożyczkowej czy towarzystwa współdzielczego. To zmieszanie się tych akcyi wyzyskują zręcznie polityczkujący księża wobec nie krytycznego zupełnie ludu i na niem uplanowali zdobycie przewagi dla duchowieństwa nad polityką kraju.

Pomógł w tem znacznie ks. Pastor poseł do parlamentu, odgrywający w Kole polskiem dość wybitną rolę nie tyle zdolnościami ile silnem pchaniem się na front. Jedyną zasługą jego było wprowadzenie do Koła kilku chłopskich posłów, stojałowczyków, lichych zresztą jako ludzi, którzy stali dotąd po za Kołem. Tam połączył on tych chłopskich posłów i księży w klub centrum, któremu przewodniczy. Stanął też na czele akcyi kardynała Puzyny i z chwilą, gdy wszedł do sejmu galicyjskiego w roku bieżącym stworzył wspólnie ze Stojałowskim stronnictwo centrum. Jest to zatem chwila, w której część duchowieństwa licząca przy

powszechnych wyborach na łatwą agitacyę wśród ludu, postanowiła wyprzeć wpływ na politykę kraju.

W skład tego stronnictwa weszły wszystkie organizacye robotnicze i rzemieślnicze, kierowane przez obóz katolicki. Charakter polityczny miały one o tyle, iż zakładano je z wyraźnym celem walki ze socyalistami. Stowarzyszeń tych jest dosyć dużo rozsianych po kraju, ale wiodły dotychczas bardzo słabe życie.

Podstawę polityczną i liczebną do stronnictwa dał Stojałowski ze swoim obozem, który ma dużo praktycznego wyrobienia w działalności politycznej. Obóz ten w czasach swej świetności miał charakter czysto chrześcijańsko-socyalny. Heroldowie jego jak Danielak i Lewicki Włodzimierz, głosili szeroko, że chłopu nie można zawracać głowy Mickiewiczem i Kościuszką, bo on potrzebuje chleba, tak jakby mu to utrudniało przystęp do chleba. Dzisiaj jednak zaniechał zupełnie tego programu w sferach ludu wiejskiego, głosząc mu przedewszystkiem konieczność walki z ludowcami i socyalistami.

Skrzydło drugie stanowią Potoczkowscy. Jest to grupa ludowa ze Sądeczczyzny stojąca pod wodzą dwóch Potoczków, majętnych chłopów, z których jeden posłuje do parlamentu i należy do klubu Pastora a jeden do sejmu. Wydają nadto gazetkę „Związek chłopski“, w której głoszą najbardziej kastowe chłopskie zasady. Są zdecydowanymi przeciwnikami inteligencyi i ośmieszyli się walką z teatrem jako miejscem zgorszenia.

Stronnictwem tem złożonem z warstw ludowych bezkrytycznych ujętych w obręcz klerykalną i inteligentnych klerykalno konserwatywnych rządzą księża Stojałowski, Pastor i Wesoliński, Spis i profesor Czerkawski. Wydali pisany program, który prędko skonstruowali biorąc co potrzeba dla nich na pokaz ze „Straży“ lub z programu sronnictwa demokratyczno- narodowego. Głosi zatem ten program „zgodę i jedność“ i pragnie jako demokracya chrześcijańska „połączyć rozstrzelone siły narodowe na podstawie jednego programu“, chce być „początkiem jednej wielkiej, wszystkie stany i warstwy jednoczącej organizacyi polityczno społecznej“. Za zadanie ma „obronę wiary, narodowości, rodziny i własności“. Wszystko to pięknie brzmiące hasła.

Ale tylko hasła dobierane stosownie do potrzeby. Powstanie i potrzeba stronnictwa nie jest wynikiem konieczności ogólnie odczutej. Stronnictwa takie, co chcą „wszystko łączyć“ były i są, nie wyłączając nawet stronnictwa szlacheckiego konserwatywnego. Żadne z nich jednak nie chce podjąć się pracy twórczej, która przyniesie w owocach zrozumienie potrzeby łączenia się dla potrzeb ogólno narodowych, owszem nie dopuszcza do niej i przeszkadza, jeżeli by musiało skutkiem tego ponieść jakieś ofiary na rzecz ogółu ze swych przywilejów i praw.

Każde jednak chce „łączyć“, aby złączone rzesze wieść na swym pasku. Więc i centrum w imię „łączności i zgody“ zawarowało w swej organizacyi dla duchowieństwa decydujący głos, a gdyby ktoś się temu sprzeciwił winien będzie złamania tej łączności.

Stworzenie stronnictwa politycznego katolickiego w kraju na wskroś katolickim, opieranie go głównie na ludzie wiejskim, który jest głęboko wierzącym, jest niepotrzebnem, jest złem i sprzecznem z interesem narodowym. Jest złem i niebezpiecznem, bo wprowadza między lud pod pozorem walki z ludowcami walkę braterską stawiając nadto na jej czele księży często z użyciem ambony do tego celu. Straci na tem nie wiara, bo tę ma lud i stojący pod sztandarem ludowców, ale straci Kościół na powadze i znaczeniu, straci na tem duchowieństwo, które powinno iść z ludem zawsze, nigdy jednak przeciw niemu, a spowodują to ci, co stoją pod hasłem obrony Kościoła i ludu. Jest sprzecznem z interesami narodowemi, bo rozdwaja lud w imię łączności i zgody ciskając weń namiętność walki politycznej uniemożliwiającej mu dojście do własnych rozumowań i postanowień w sprawach go obchodzących. *Bes.*

Chłosta czy katowanie?

Karanie dzieci za opór przeciwko niemieckiej nauce religii jest tak powszechne, że na szczupłych łamach pisma naszego możemy dawać miejsce tylko wypadkom najjaskrawszym. Wypadek, który poniżej podajemy w opisie ks. *proboszcza Kaczmarka z Wyrzyska*, przesłanym „Dz. Pozn.“ jest tego rodzaju, że powinien on obejść całą prasę naszą, jako widoczny ślad tej kultury, którą jako wyższą (?) starają się nas uszczęśliwić (?). Jest to wypadek, który urąga wszelkim pojęciom o granicach chłosty szkolnej, który raczej chłostę tę prostym językiem nazywać każe — katowaniem. Lecz oto opis ks. Kcazmarka.

„Wyrzysk, dnia 14 listopada 1906.

To, co zamierzam wam opisać, nadawałoby się może lepiej do fejletonu, w którym żądne wrażeń wielkomiejskie nerwy wasze nieraz może szukają nowych efektów, świeżych motywów. Lecz umieśćcie już lepiej eleborat mój w dziale polityki, albowiem fakt, o który chodzi, jest wysoce politycznym lub niepolitycznym, wedle ...

Dzisiaj przed południem, gdy zajęty byłem w banku, wywołano mnie nagle do pomieszkania naszego zacnego eskulapa, gdzie oczom moim niebywały przedstawiał się widok. Kiedym pierwszy raz w podróży do Rzymu ujrzał wyższe szczyty gór, umysł mój ani w setnej części nie był tak poruszony, jak w owej chwili. Przedemną stała dziewczynka wiejska, trwożna i dziwnie zmieszana, z wzrokiem zamglonym i mętnym, jak u ludzi mieszkających w chatach, kędy dym nie wychodzi kominem, ale kręci się po izbie. Obok ojciec dziewczynki, zmizerowany i spłakany, na którego twarzy napisano: Przypatrzcie się i obaczcie, czy jest boleść, jako boleść moja. Lecz czy to mnie tak wzruszyło? Nie, bo my duchowni często patrzymy na łzy i smutek. Odwrócono dziewczątko do mnie plecami i, zadrżałem na całem ciele. Gdybym był malarzem, może należycie zdołałbym opisać grę kolorów i ów obraz fantastyczny, jaki się przedstawił oczom. Ramiona i plecy dziewczątka przedstawiały krajobraz, którego barwy i tony na ostro mogły gonić chyba tylko z kolorami tęczy i zorzy wieczornej. Podają nam dzieje, że ze skóry Jana Zyski, zgrośnego wodza husytów, zrobiono bęben. Sroga zemstwa, ale to było po śmierci, gdy ta skóra była martwa i nieczuła. Ale w tym wypadku, na żywej skórze ludzkiej wymalowano prętem obraz, wobec którego tatuowane skóry indyan są tylko marnem malowidłem. Czy podobna? Oto fakta:

Dnia 12 bm. przed południem nauczyciel Franciszek Piechota z Mieczkowa w parafii smoguleckiej, w powiecie szubińskim, schłostał dziewczątko 10-letnie, Józefę Tetzław, córkę gospodarza J. Tetzława z Mieczkowa za to, że za przykazem rodziców nie chciała na nauce religii odpowiadać w języku niemieckim. Gdy dziewczątko zbite i skatowane schroniło się pod ławę, nauczyciel P. wyciągnął ją za warkocz, bił dalej, a nawet kopał nogami. Wśród tej kulturalnej operacyi nauczyciel P. wołał po polsku do dziecka: „Ja ci sprawię polską naukę, jutro ci jeszcze lepiej dam“. Swiadkami zajścia tego są dzieci z oddziału Józefy Tetzław,

które rodzicom o katorżni tej opowiadały.

Że podane tu przezemnie fakta zgadzają się z prawdą, wynika ze załączonego tu atestu p. dr. Stańczyka przez ojca pobitego dziecka.

Atest ten brzmi:

„P. Józefa powiada: że d. 12 bm. otrzymała w szkole niezliczoną ilość razów trzciną przez obydwa ramiona i przez plecy. Opowiadanie to jest wiarogodnem, widać bowiem, że obydwa ramiona są zupełnie sine. Na plecach, a mianowicie na obydwóch łopatkach znać liczne, kilka centymetrów długie niebieskawo-zielone pręgi. Na prawem ramieniu widać *ciemno-niebieską* plamę, 8 centymetrów długą i 8 cm. szeroką. Na lewem ramieniu znajduje się *ciemno-czerwona* plama, 14 cm. długa i 6 cm. szeroka. Oba ramiona są napuchnięte. Całe to poranienie robi *okropne* wrażenie, tak się zdaje, jakoby plecy dziecka zostały zbiczowane. Nie ulega żadnej wątpliwości, że znaki patologiczne na ciele Józefy Tetzlaw spowodowane zostały brutalną przemocą za pomocą tępego przedmiotu. Co do znaczenia ran, to wprawdzie nie zagrażają one życiu poranionej, narażają jednak w dość wysokim stopniu zdrowie dziecka, które w najwyższym stopniu duchowo jest podrażnione. W nocy co chwilę się budzi i płacze ze strachu, że znowu zostanie pobite. Czy pozostaną trwałe i szkodliwe następstwa, tego dziś jeszcze stanowczo powiedzieć nie można, w każdym razie świadczy ten fakt pobicia o *nadzwyczajnej srogości* bijącego, oraz o tem, że miara prawa chłosty została przekroczoną. To poświadcza

Wyrzysk, dnia 14. listopada 1906.

(Pieczątka).

(Podpis lekarza).

Widziałem morze adryatyckie i tyreńskie — i one są ciemno-niebieskie, ale wstydem by się zarumieniły na widok ciemno-niebieskich plam na skórze skatowanego dziecka.

Przy tej sposobności przypomniało mi się, o czem w gazetach naszych czytałem, że redakcye ilustrowanych pism prosiły o widoki ze strajku szkolnego u nas. Kazałem przeto obnażone ramię i plecy dziewczątka fotografować. Nie wiem jeszcze, czy się fotografia udała, bo fotografowano w mdłem świetle pokoju. Lecz jeśli się udała, wtenczas służę szanownym redakcyom owym ciekawym obrazkiem kultury w państwie prawa i bojaźni bożej. (Adres mój: Ks. Kaczmarek — Wyrzysk, obwód rejenc. bydgoski). Wątpię wszelako, czy berliński orbis terrarum pictus alias „Woche“ miałaby odwagę podać tę czarną plamę kultury swojego państwa do dalszej wiadomości. Wolałaby może zamieścić ilustracye powybijanych w niektórych miejscowościach okien w lokalach szkolnych, świadczących o rzekomym fanatyźmie ludu polskiego. Lecz czemże jest ten wynik chwilowego wzburzenia umysłów wobec faktu tu opisanego — każdy rozsądny Europejczyk sam sobie dopowie.

Nie fotografię, ale raczej obraz żywą farbą malowany pobitego dziecka należałoby umieścić w atlasie anatomicznym i zachować w muzeum watykańskiem, aby po wszystkie czasy świadczył, w jaki sposób — piszę i czytam: prętem zaszczepiano kulturę pruską na grzbiecie polskiego dziecka w roku od narodzenia Chrystusa Pana 1906.

Nakoniec nadmieniam, że sprawę tę ojciec dziecka odda prokuratoryi, a lekarz uznał, że dziecko niezdatnem jest do odwiedzania szkoły na przeciąg 3 tygodni.

Z głębokim szacunkiem
Ks. Alfons Kaczmarek.“

*) Atest podajemy w naszem tłomaczeniu. — Redakcya „Pracy“.

Chłosta to czy to katowanie? — Z opisu łatwo wyczytać, jak nazwać „ten akt nadzwyczajnej srogości“. A pisze to lekarz, a więc ktoś z bólem ludzkim oswojony, mniej wrażliwy.

Czyż wobec tego ów nauczyciel zasługuje na szczytne miano — wychowawcy, czy ludność nasza do takich wychowawców, i do instytucyi, w której takie akty wychowania się dzieje — może mieć zaufanie?

Tutaj naszem zdaniem nie tylko prokurator wkroczyć powinien — ale rząd, regencya, władze szkolne. Nauczyciel tak chłoszczący dziatwę, jak powyżej opisano, z urzędu swojego powinien być usunięty.

Ludźmi jesteśmy i chcemy, aby po ludzku z nami i z dziećmi naszymi się obchodzono.

Prasa Królestwa Polskiego

o strajku szkolnym w zaborze pruskim.

(Korespondencya własna „Pracy“).

Warszawa, 17-go listopada.

Od czasów sprawy wrzesińskiej Poznańskie nie było u nas przedmiotem takiego zainteresowania ogólnego, jak dzisiaj z racyi strajku.

Wszystkie dzienniki i czasopisma warszawskie zajęły się żywo nie tylko już strajkiem szkolnym, jego powstaniem i przebiegiem, ale i całokształtem społeczno politycznych stosunków Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

„Dzwon Polski“ wysłał do Księstwa specyalnego korespondenta swojego p. Ludwika Włodka, bardzo uzdolnionego publicystę, który w całym szeregu obszernych, a z wielką znajomością rzeczy skreślonych artykułów omawia sprawy szkolne, społeczne, organizacyjne, rolne i t. d. powołując się na wyjaśnienia znanych działaczów Waszych.

Pierwszorzędna, w stylu europejskim wydawana ilustracya nasza — *„Tygodnik Illustrowany“* zamieścił kilka ciekawych artykułów, ilustrowanych podobiznami oskarżonych redaktorów *„Pracy“* i *„Gońca Wielkopolskiego“*. Obszernie omawia stosunki poznańskie *„Gazeta Polska“*, oraz *„Kuryer Warszawski“* piórem p. Władysława Rabskiego, wybornego znawcy Księstwa. Kilka korespondencyi ciekawych, poświęconych opisowi zapoczątkowania i stopniowego rozwoju prześladowań polskości pod pruskim zaborem, zamieścił z Poznania *Sztandar* p. K. Rakowskiego. Pozatem wszystkie inne pisma zajmują się strajkiem żywo i gorąco. W całej sprawie panuje u nas rzadka zgoda i jednomyślność poglądów. Gdzieniegdzie uczuć się daje obawa „czy aby wytrwają?“ Obawa — daj Boże — nieuzasadniona.

W *„Kuryerze Warszawskim“* p. Rabski zastanawia się nad wielkim zwrotem, jaki się dał zauważyć w duszy ludu poznańskiego, zadraśniętego w najświętszych swoich uczuciach przez system pruski. Lud ten milczał długo, aż wreszcie doprowadzony do ostateczności, zdobył się na opór zbiorowy. Nie można go dzisiaj pomawiać o bierność i zobojętnienie. Radykalna *„Prawda“* z przekąsem mówi o „ultralojalnych Poznańczykach“, wypowiadając życzenie, byście już zrozumieli wreszcie, że ku obronie praw służyć może nie tylko droga, ściśle legalna. Strajk dzisiejszy niech będzie tym zwrotem. *Sarmata.*

Lud wiejski w powieści.

Jak w dawnym ustroju Rzeczypospolitej lud wiejski — zwany stanem chłopskim — stanowił ciemną i bierną masę, pozbawioną praw obywatelskich, oddaloną od magnata i szlachcica, o całą przepaść różnicy kulturalnej i społecznej, tak i w literaturze naszej włościanin, wieśniak — chłop nie był uważa-

ny za przedmiot dosyć interesujący, aby go było warto literacko zużytkować. Autorzy powieści zajmowali się z upodobaniem osobami „lepszego“ towarzystwa, a więc arystokracyą rodu i pieniędzy, wśród której dla dekoracyi umieszczany bywał artysta lub literat.

Zdolniejsi pisarze, a mianowicie najzdolniejszy wśród nich, najwięcej zasłużony, choć dziś już po części zaniedbany — Kraszewski próbował wprowadzić chłopa do swych powieści. Ale był to zwykle człowiek deklamujący, konwencyonalny — marzyciel bez wszelkich cech prawdziwości, który w powieści pełnił rolę dekoracyjną.

Z postępem czasu, ze zmianą stósunków społecznych, stan kmiecy podniósł się z długoletniej ciemnoty i poniżenia, i oświecony i uświadomiony stanął w szeregu współobywateli do wspólnej społecznej i narodowej pracy. Nasz włościanin dziś dzięki książkom i gazetom jest umysłowo o tyle wykształconym, że zdrowy i jasny wytwarza sobie pogląd na stósunki polityczne i ekonomiczne, zabiera głos na zebraniach publicznych i nie rzadko przemówienie jego odznacza się bystrością i dojrzałością myśli. — Postęp tej warstwy społecznej jest u nas olbrzymi, a dokonała go w przeważnej części — gazeta ludowa.

Wysunięty już stale na widownią życia publicznego musiał też lud wiejski znaleść odpowiednie miejsce w literaturze. Nowsi nasi pisarze ze szczególniejszem zamiłowaniem studyują i przedstawiają czytelnikom duszę chłopa. Chłop w „Dziurdziach“ Orzeszkowej, „Szkicach węglem“ Sienkiewicza, chłop Ślimak w „Placówce“ Prusa i chłop w „Chłopach“ Reymonta są postaciami na wskroś prawdziwemi.

Oryginalny i niepospolicie utalentowany pisarz Reymont najgłębiej może potrafił wniknąć w duszę ludu. Przejął się najzupełniej nietylko jego sposobem myślenia, ale przemawia językiem chłopskim i całą powieść pisze tymże językiem, co jej nadaje cechę wielce oryginalną i odrębną. Często surowy i rubaszny, liczący się z konwencyonalnymi względami przyzwoitości, język ten mieści w sobie obok tych właściwości rażących wielkie bogactwo form, *archaizmy* *) niezwykłej piękności, zwroty przedziwne, wysoce poetyczne. Czytelnik o ile jest estetycznie wrażliwy, ulega całkowicie urokowi tego stylu, który chwilami podnosi się do prawdziwie uroczystego nastroju n. p. w opisach natury.

Wiedzy zamiłowanie autora przechodzi w namiętność, w rozmach właściwy tylko wielkim talentom.

Tak opisywać naturę rodzinnego kraju potrafi tylko człowiek gorąco miłujący ziemię ojczystą.

I dla tej już samej przyczyny powieści Reymonta zasługują na jaknajszczersze rozpowszechnienie. *M. G.*

* Archaizmem nazywamy wyraz lub zwrot w mowie starożytnej, dziś już nie używamy n. p. *krom* (oprócz) przecz (czemu) wżdy (jednakże) zawdy (zawsze) i wiele innych. Nowsi nasi pisarze poeci, Wyspiański, Przybyszewski, Rydel, Kasprowicz używają często i bardzo szczęśliwie różnych archaizmów, które wielce się przyczyniają do piękności ich stylu.

Do szeregu!

Obecny strajk szkolny nienawiść hakatystów rozbudził przeciwko nam do ostatnich granic. Żądali oni, ażeby rząd wręcz zakazał wszelkich wieców. Wiadomo, że nie mała ilość istotnie skutkiem hakatystycznej nagonki została albo rozwiązana, albo zakazana.

Ale nie dość tego hakatystom. Jako główną winowajczynię — strajku szkolnego, jako tamę — przeciwko germanizacyi uważają oni przedewszystkiem *prasę polską*, polską gazetę.

Knują oni dla tego od lat, a obecnie coraz głośniej domagają się wręcz: ubicia gazet polskich, domagają się zakazu używania publicznie języka polskiego.

Rodacy! czyż takie zakusy nie poruszą was do głębi, czyż z tego szczucia hakatystycznego nie widzicie, jak wielkie znaczenie mają gazety polskie! *Bronią* one was i praw waszych — czyż nie będziecie ich popierać!

Rodacy! — za wasze i nasze prawa, do szeregu około gazet polskich! Nie dość was jeszcze! Tysiące braci chodzi jeszcze w ciemnocie i zaślepieniu. Otwórzcie im oczy na tę dolę naszą wspólną, niech się obudzą, niech przejrzą, niech do naszego zapiszą się szeregu, bo im więcej nas będzie pod jednym sztandarem, tem więcej siły mieć będziemy — tem prędzej zwyciężymy.

Rodacy! — agitujcie dla „Pracy“.

Zebrania i wiece.

W niedzielę dnia 25-go listopada odbędą się następujące wiece:

Na Wildzie
pod Poznaniem; wiec „Straży“, o godz. 4-tej po poł. na sali p. Patza, Dolna Wilda (Wilowa 71).

W Garczu
Pr. Zach.; wiec „Zjednoczenia Zawodowego Polskiego“ o godz. 2 po poł. na sali p. Kostucha.

W niedzielę dnia 2-go grudnia.

W Starogardzie
zebranie komisarzy „Straży“ na pow. starogardzki u. p. Buly o godz. 2 po poł.; o godz. 5 odbędzie się na tej samej sali wiec relacyjny.

Wiadomości.

* **Procesy strajkowe:** Tego samego dnia, w którym redaktor „Pracy“ p. Idzi Switała skazany został na miesiąc więzienia, stawał przed tą samą izbą karną także p. *Wincenty Szpotański,*“ redaktor „Gońca Wielkopolskiego.“ Wykroczenia przeciwko § 110 dopatrzyła się prokuratorya w korespondencyi z Bnina, umieszczonej w jednym z sierpniowych numerów „Gońca.“

W wywodach swoich przypomniał prokurator i Wrześnię i strajk szkolny w Królestwie i to, że jeszcze przed 5 laty byłby każdego uważał za kiepskiego idyotę, ktoby mu był przepowiadał możliwość strajku. Ale teraz sprawa się zmieniła. Stało się to dzięki gazetom, które obok księży strajk ten wywołały. Prokurator żąda dla oskarżonego 6 tygodni więzienia, sąd po godzinnej przeszło naradzie skazuje p. Szpotańskiego na 200 mrk. kary. Pan Szpotański dotąd nie był jeszcze karany.

Pana Szp. bronił poseł p. mec. *Dr. Zygmunt Dziembowski.* Obrona ta wywabiła na salę rozpraw z wszystkich zakątków sądu i sędziów i adwokatów i funkcyonaryuszy sądowych. Trzymając się ściśle prawa i historyi, począwszy od kongresu wiedeńskiego, wymieniał poseł Dziembowski wszystkie gwarancye języka polskiego, wszystkie prawa, które rodzicom zapewniają opiekę i wychowanie dzieci, wszystkie prawa, przyznające Kościołowi pieczę nad religią i nauką religii. Sąd i wszyscy obecni w sali słuchali wywodów tych z niesłabnącą ciekawością — niestety wyrok zapadł inny, aniżeli po obronie tej spodziewać się było można.

* **Petycya do cesarza:** Już na początku tego tygodnia obwieściły telegramy światu, że cesarz petycyi, podanych na jego ręce — nie uwzględnił. Petycye te wniesione były w sprawie strajku szkolnego — przez gnieźnieńską i poznańską kapitułę.

Oddzielnie od tego poczęto zbierać podpisy wśród ludu pod petycye do cesarza. Pisaliśmy o tem w przeszłym numerze. Zapowiedź nasza, że petycye te nie odniosą skutku, prędzej się ziściła, aniżeli się spodziewać było można. Lepiej tak.

Wiadomość nasza, jakoby księża stojący blizko Drukarni św. Wojciecha zajęli się ułożeniem petycyi, okazuje się o tyle tylko prawdziwą, że formularze petycyi drukowano w tej drukarni. Autorem według prywatnych wersyi nie jest żaden z tych księży, którzy mają bezpośrednią styczność z tą drukarnią, a więc ani ks. patron Wawrzyniak, ani ks. szambe-

Jan Kłos, ani ks. Adamski. Petycyę złożył i rozsyłał podobno jeden z księży z prowincyi na własną odpowiedzialność.

§ 1160 i 1638.

Na zasadzie tych paragrafów prawa cywilnego zawyrokował sąd okręgowy w *Zabrzu* na Górnym Śląsku: odebranie inwalidzie górniczemu Józefowi Zychowi opieki nad córką Martą, urodzoną 24-go kwietnia 1894, a więc liczącą przeszło 12 lat — oraz oddanie jej albo odpowiedniej rodzinie, albo jakiemu zakładowi wychowawczemu.

Dla czego?

Pan Józ. Zych zakazał córce swej odpowiadać w nauce religii po niemiecku. Sąd uznał zakaz ten jako zakorzenienie nieposłuszeństwa wobec nauczyciela, jako konflikt obowiązków wobec rodziców i szkoły, jako środek przeciwko porządkowi państwowemu i jako nadużycie władzy rodzicielskiej. Sąd obawia się, że Marta w *przyszłości* stanie się wrogiem obecnego porządku państwowego i społecznego. Stąd taki wyrok.

Nie wiemy, jak sprawę tę osądzi izba karna i następne najwyższe instancye, to jednak wiemy, że taki wyrok nie zgadza się — z przykazaniem czwartym. Przykazanie to powiada: czcij ojca twego i matkę twoją.... o porządku państwowym pruskim mowy tam niema.

* **Tajny reskrypt** w sprawie szkolnej. „Dziennikowi Berl." nadesłano tajny reskrypt landratów w Księstwie do nauczycieli, który w dosłownem tłumaczeniu polskiem brzmi:

I. Jeżeli dzieci szkolne pańskiej szkoły

1) wzbraniają się w nauce religii na zadawane im niemieckie pytania odpowiadać po niemiecku, po niemiecku się modlić lub przyjmować niemieckie katechizmy,

2) jeżeli swoim niestrejkującym kolegom okazują wzgardę lub nawet ich biją, wzywam Pana, żebyś Pan jeszcze tego samego dnia doniósł o tem mnie, albo odnośnemu komisaryatowi obwodowemu lub burmistrzowi, przyczem proszę nadmienić; czy, i w danym razie, które z dzieci z nich są urzędników państwowych lub komunalnych (sołtysów, ławników i t. d.) członków dozorów szkolnych lub robotników zatrudnionych w zakładach państwowych lub komunalnych.

II. Gdyby Panu było wiadomo, że inne osoby, lub księża albo urzędnicy kościelni strejkującym dzieciom osobną udzielają naukę, to i to należy mi zaraz donieść.

III. W odnośnych doniesieniach proszę dokładnie podać mi imię i nazwisko, stan i miejsce zamieszkania odnośnego ojca lub osoby uczącej dzieci.

Do wszystkich panów nauczycieli powiatu . . . .

No — teraz to już drzwi i okna otwarte dla denuncyacyi wszelkiego rodzaju....

* **1100 szkół** liczy według „Deutsche Ztg." obwód regencyi poznańskiej; z tych 1100 szkół zaledwie (!) w 300 (!) tylko (podobno) odbywa się nauka religii po niemiecku, i to przeważnie (!?) w najwyższym oddziale. — Nam niestety statystyka szkół w dzielnicy naszej jest niedostępną, nie możemy więc o liczbach tych stanowczego wydać sądu, to atoli mamy *przekonanie*, że religii po niemiecku uczy się nie tylko w 300 szkołach. Na poparcie tego naszego przekonania polecamy przeczytanie artykułów naszych p. t. „strajk rośnie".

* **Hakatystyczna przesada.** W ub. tygodniu obiegła prasę hakatystyczną złowroga wieść, że w *Jaśkowie* pod Mroczą *zburzono* (!) szkołę, a nauczycielowi skradziono (!) wszystek drób. Wiadomość ta jest zupełnie fałszywą. Według urzędowego doniesienia wybito w szkole 3 szyby. — Rząd widocznie w przyjemnem znajduje się położeniu, skoro musi prostować hece hakatystyczne, rząd snać nie wierzy już bezwzględnie recepcie hakatystów, że Polacy to tylko — burzyciele i złodzieje. Czasby był, żeby rząd choć odrobinę przejrzał.

* **Jako objaw fanatyzmu polskiego** podoją pisma niemieckie następującą wiadomość: *W. Bochum* w Westfalii odbyły się 3 b. m. rozprawy sądowe przeciwko górnikowi Wawrzynowi Szynkowiakowi z Recklinghausen. Sąd ławniczy skazał Szymkowiaka i żonę na 10 dni więzienia za pobicie dziecka. Prokurator wniósł apelacyę — bochumska izba karna rozpatrywała sprawę ponownie. Postępowanie dowodowe wykazało, że Szymkowiak 3 letniego synka swego chronił od zetchnięcia się z niemczyzną. Gdy jednak chłopiec mimo tego pochwycił kilka słów niemieckich i wplątał je do pacierza, rodzice katowali go rzemienną dyscypliną. Nie mniejsza kara spotykała chłopczynę, gdy skutkiem nieznajomości języka niemieckiego niestósowne z sklepów przynosił towary. Wyrok zapadł dla Szymkowiaka na miesiąc więzienia, żona otrzymała 6 tygodni. — Ciekawi jesteśmy, ile w tem doniesieniu jest prawdy. Jeżeli tak istotnie rzecz się miała, to musimy wyrazić owemu ojcu co najmniej nasze zdziwienie, że stosował ten sam sposób do wypędzania z dziecka niemczyzny, jaki stosuje szkoła do wpędzania. Jak kijem nie wpędzi się w dzieci nasze niemczyzny, tak samo nie wpędzi im się kijem miłości do spraw ojczystych i języka ojczystego. Kij i miłość są dwie rzeczy ze sobą — nie zgodne. Kij budzi nienawiść, i stanowczo przestrzegamy rodziców przed używaniem kija jako środka do szczepienia w dzieci swe polskości. My za taką polskość kijem nabitą, a nie pochodzącą — ze serca pięknie dziękujemy.

* **Strajk szkolny aż w Ameryce** odbił się głośnem echem. Pisma tamtejsze przypominają rodakom naszym, że „ na bolesne jęki dzieci naszych nie powinni być obojętnymi. Wykład niemiecki religii nazywają one „kajdanami sumienia". Polskie pisma amerykańskie wołają na swych czytelników, ażeby strajk dzieci w zaborze pruskim przeciwko niemieckiej nauce religii był im „bodźcem do pracy na polu narodowem, by łączył ich w jedno, i przyczyniał się do jeszcze większej miłości Boga, języka i tego co polskie i nasze".

Pisma te wzywają polonię amerykańską, ażeby na obchodach listopadowych pamiętano o nas i tych dzieciach kochanych miłujących ojczyznę i swój język ojczysty, i ażeby im w formie rezolucyi wyrażano współczucie z powodu cierpień, i najwyższe uznanie i cześć za odwagę i poświęcenie w walce o najdroższe skarby.

A my co na to?

* **Wiece relacyjne**, na których omawiano także inne sprawy publiczne, odbyły się ostatniej niedzieli: w *Poznaniu* dla parafii św. Wojciecha, w *Dębcu*, w *Oporowie* pod Wronkami, w *Opalenicy* i w Ostrowie — wszędzie bez przeszkody. Tak samo odbyły się bez przeszkody wiece w środę, a mianowicie na Wildzie i w Nowejwsi pod Swarzędzem.

* **Kara za strejk.** *W Trzemesznie* zarząd „Vaterländischen Frauenvereinu" uchwalił, nie dać w tym roku podarków gwiazdkowych tym dzieciom, które przyłączyły się do strejku szkolnego. — To bardzo patryotycznie może — ale nie po ludzku!

* **Żandarmi brandenburscy w Księstwie!** „Posener Tageblatt" donosi, że przybyli do Poznania żandarmi z Brandenburgii, których sprowadzono i rozlokowani zostaną w różnych miejscowościach, gdzie dopuszczono się „wykroczeń". — Czy rząd już zupełnie stracił głowę?

* **Konfiskata.** Numer 262 „Lecha" został znowu skonfiskowany i to z powodu dwóch artykułów: „Nie łudźmy się!" i „W sprawie petycyi" do cesarza.

* **W sprawie aresztu dzieci.** Gnieźnieński sąd ławniczy rozstrzygnął sprawę p. Piaseckiej, której córka chodzi do szkoły w Żydowie. Nauczyciel skazał jej córkę na areszt oraz karę za to, że była chora i do szkoły nie przyszła. Sąd uwolnił oskarżoną i pouczył nauczyciela, *że winien areszt tak urządzić, aby dziecko mogło pójść do domu i obiad zjeść.*

* **Śpiewajmy pieśni polskie!** Pieśni polskie słyną ze swej piękności i są one chlubą naszego narodu. Jak obowiązkiem każdego Polaka znać najpiękniejsze utwory literatury naszej, tak też znać powinniśmy najpiękniejsze pieśni polskie. Nic tak nie podnosi ducha jak pieśń! Jest rzeczą wiadomą, że Czechów przed wynarodowieniem ocalała pieśń czeska, pielęgnowana przez nich z wielkim zapałem w życiu publicznem i prywatnem, tam bowiem, gdzie słowo do serca drogi znaleźć nie może, znajdzie ją jeszcze nuta swojska.

Wychodzący w Poznaniu miesięcznik z nutami „Śpiewnik" (Poznań Fryderykowska 9), który abonować można za markę kwartalnie wprost w administracyi pod zarazem wyżej wskazanym adresem lub na poczcie podaje w każdym numerze wybór *najnowszych i najpiękniejszych pieśni polskich z nutami.* Każdy, umiejący grać na skrzypcach, fortepianie lub innym instrumencie, może ich z łatwością nauczyć innych. Numer pierwszy „Śpiewnika" zawierał między innymi śliczna pieśń z opery polskiej „Goplany" Żeleńskiego, słynny „Tryolet" Moniuszki i wspaniały hymn

czterogłosowy „O ziemio ojców“.

Obecnie wyszedł zeszyt drugi i zawiera pieśni niemniej zasługujące, aby je wszędzie w Polsce śpiewano. Osobny dział w „Śpiewniku“ tworzą *piosenki dla dzieci polskich* przy zabawach i również *pieśni pobratymczych narodów słowiańskich*. Wydawnictwo to gorąco polecamy.

* **Sprostowanie**. Na wiecu relacyjnym w Koźminie w dniu 11-go bm. przemawiał p. *Piotr Stachowski z Koźmina*, a nie p. Starkowski. (Patrz zamieszczoną korespondencyą z Koźmina w numerze zeszłym „Pracy“ na stronie 1760-ej.

* **Odezwa**. W dniu 6 grudnia roku bieżącego urządzają w Poznaniu niżej podpisane wystawę prac kobiecych. W zakres przedmiotów wystawowych wchodą wszelkiego rodzaju robótki ręczne, n. p. haft, koronki, rzeźby itp., dalej obrazy, tak olejne, jak akwarele lub pastele. Wszelkie roboty, od skromnych począwszy, znajdą u nas bezpłatne pomieszczenie i podług życzenia właścicielek zbyt ułatwiony przy potrąceniu 10 procent na cele dobroczynne. — Zapytywane z wielu stron, czy nie przyłączylibyśmy do wystawy robót także bazaru spożywczego, składającego się z wyrobów wiejskich, jak konserw, miodu, wyrobów mięsnych, nalewek, pieczywa, jako wchodzących w zakres pracy kobiecej, donosimy uprzejmie, że chętnie przyłączamy tę gałęź przemysłu domowego do naszej wystawy. Produkta wystawione sprzedawać będziemy na rachunek wystawczyń — potrącając 10 procent na cel dobroczynny.

Zwracamy już dzisiaj uwagę na mającą się odbyć wystawę, żeby przyspieszyć wykończenie okazów wystawowych, o które uprzejmie prosimy. Sądzimy, że nie potrzeba tu wiele słów zachęty z naszej strony, żeby uzyskać liczny współudział i zainteresowanie się tą sprawą. Świetny rezultat czterech ostatnich wystaw prac kobiecych, to najlepszy dowód, że jest ona pożądanym i sympatycznym objawem działalności kobiet w zakresie życia domowego. Roboty prosimy przesyłać od 15 listopada do 1 grudnia na ręce pań komitetowych, które pod odezwą podają adres swego mieszkania. Prosimy uprzejmie o przesyłanie równocześnie z robotami przekazów pocztowych do odesłania robót, z dokładnym adresem wystawczyń, celem uniknięcia nieporozumień z pocztą, przy odesłaniu robót. — Wystawa trwać będzie od 6 do 18 grudnia, w pałacu Działyńskich, wstępne oznaczyłyśmy na 25 fen. od osoby, abonament na cały czas na 2 marki.

Komitet:

Cegielska Paulina (ul. Ogrodowa nr. 10). Kusztelanówna Ojcumiła (Ogrodowa nr. 12). Kremer Marya, Karwowska Anna (św. Marcin nr. 58), Dziembowska Zofia (ul. Teatralna nr. 5), Cichowiczowa Helena (plac Wilhelmowski nr. 18), Plucińska Stanisława (św. Marcin nr. 5), Paruszewska Marya (ul. Wilhelmowska nr. 3), Panieńska Helena, Pokrzywnicka Marya, Paczkowska Klara (ul. Teatralna nr. 8a), Leitgebrowa Marya (plac Królewski nr. 1), Stablewska Elżbieta (pl. Królewski nr. 6 a). Sławska Zofia (ul. Fryderykowska nr. 26), Mieczkowska Zofia (Wielkie Garbary nr. 9), Mieczkowska Marya (św. Marcin nr. 61), Wicherkiewiczowa Marya (św. Marcin nr. 6), Żelazowska Władysława (Strzelecka 11), Łebińska Marya Halina (ulica Dolna Wałowa nr. 1), Zakrzewska Ksawerowa ulica Rycerska nr. 10), Przybyłowska Anna ul. Wodna nr. 15), Kościelska Marya (Piekary 18), Pernaczyńska Joanna.

* **Z teatru**: W *piątek* dnia 23-go b. m. sensacyjna nowość *„Koncert na fortepianie „Mignon“*. Jestto genialny wynalazek w dziedzinie muzycznej, którego celem działalność mistrzów i sławnych wirtuozów, najszerszym kołom uprzystępnić. Nie jest to aparat wydający automatyczne dźwięki jak Pianola lub Gramofon, lecz fortepian imitujący najdokładniej grę pierwszorzędnych pianistów. Największy nasz pianista Ignacy Paderewski pisze o nim: Jedyny zarzut jaki fortepianowi *„Mignon“* uczynić można, jest nadana mu nazwa; ponieważ ani potężnej działalności tego instrumentu, ani wielkiemu jego przeznaczeniu nieodpowiada. Na program złożą się arcydzieła sławnych kompozytorów jak: Bussoniego, Szarwenki i innych. Koncert ten będzie prawdziwą atrakcyą dla naszej publiczności. Nastąpi: *„Towarzysz pancerny“* pełna humoru komedya kontuszowa w 3 aktach M. Wołowskiego. (Ceny zwyczajne.)

W sobotę, jako w dzień poprzedzający ewang. święto zaduszne *„Totensonntagą*, w którym grywać *niewolno*, odbędą się dwa przedstawienia. Po południu o godzinie 3 *„Obrona Częstochowy“* dramat historyczny w 7 obrazach p. Juliana z Poradowa. (*Ceny zwyczajne*).

W sobotę wieczorem zamiast zapowiedzianego dramatu p. t. *„Izrael na puszczy“*, do którego dekoracye i kostyumy niewykończone, ponieważ w dniu tym tylko poważniejsze dzieła grywać wolno, wystawioną będzie prześliczna sztuka w 4 aktach p. t. *„Bracia Rantzau“* przez Erckman'a i Chatrian'a. Rzecz nader interesująca grywana na wszystkich scenach z wielkiem powodzeniem. (*Ceny zwyczajne*).

W poniedziałek: *„Górą Radziwill“*. Dzieło sceniczne ze śpiewami i tańcami w 7 obrazach.

* **Lutnia**. Członkom, którzy nie byli obecnymi na ostatniem nadzwyczajnem zebraniu walnem na tej drodze donosimy, że zmienione ustawy stowarzyszenia zostaną im doręczone za przyszłem rozesłaniem kurendy. — Zarazem raz jeszcze członków bądź obecnych, bądź byłych, prosimy o zwrócenie nam muzykalii, które są własnością towarzystwa, a których brak nam jeszcze przedewszystkiem następujących: *Swaty*, mazurek i *Piosnka litewska* Chopina, *Trzech Budrysów*, *Pieśń Wieczorna*, *Wiosna*, *Pieśń żołnierska*, *Znaszli ten kraj* Moniuszki, *Chór Pielgrzymów* Wagnera.

Dalej prosimy o zwrot wiolonczeli, trąbki i skrzypiec.

Po dokonanej kooptacyi członka Zarządu nie omieszkamy donieść o tem, jakeśmy się ukonstytuowali.

Zarząd.

* **Na cel dobroczynny!** We wtorek, 27 bm. urządza Towarzystwo Pań św. Wincentego a Paulo na sali wzgórza św. Łazarza zabawę na dochód ubogich i żłóbka w Górczynie. Urozmaicenie wieczoru będzie wielkie; artyści teatru polskiego gotowi zawsze do poświęceń dla dobra bliźniego, idąc za przykładem swego szlachetnego dyrektora Rygiera, biorą w niej udział; gra fantowa, dostarczy wiele, cennych nawet, podarków gwiazdkowych; będą niedźwiedzie tańce a podobno i kilku izraelitów się zgłosiło by mogło w zabawie uczestniczyć.

Prosimy szanowną publiczność, by już to, ze względu na miłe spędzenie wieczoru, już to na cel tak doniosły, bo chodzi także o dołożenie cegiełki do budowy ochronki, na którą zebrany fundusz jeszcze nie wystarczy, tłumnie się zgromadzić zechciała. *Zarząd.*

* **We Wrześni** obchodzili uroczystość *„dyamentowego wesela“* Kaźmierzostwo Madajowie dnia 15-go b. m. Odprawiła się na ich intencyę uroczysta msza św., na którą zebrała się bardzo liczna rodzina, oraz dużo życzliwych osób. Ks. proboszcz Łabędzki w wzniosłych słowach przemówił do jubilatów. Była to nietylko wzniosła, lecz także wzruszająca chwila, gdy małżonkowie pochyleni staruszkowie — klęcząc na stopniach ołtarza zatopieni w gorącej modlitwie, dziękowali Bogu za tak wielką łaskę, iż im tak długiego życia udzielił. Po odbytem nabożeństwie zebrała się nader liczna rodzina w domu jubilatów, mieszkających u zięcia p. Jarocińskiego, który nader gościnnie w domu swoim gości po staropolsku podejmował, dokąd przybył i ks. proboszcz Ł., by raz jeszcze życzenia złożyć, oraz list Arcypasterski z błogosławieństwem wręczyć. Rodzina Jubilatów składa się z 6 dzieci żyjących, 48 wnuków i 38 prawnuków. „Szczęść Boże“ zacnym małżonkom! Oby mogli doczekać wesela żelaznego (65 lat) gdyż jeszcze się czują rześcy.

* **Gębice**. W zeszły piątek odbyły się wybory do rady miejskiej w III klasie, gdzie pomimo wielkiej agitacyi z strony Niemców a przedewszystkiem żydów, nasi przeszli i to tylko dwoma głosami. Polaków głosujących było 24, tak samo i Niemców, wliczając urzędników, półurzędników i nauczycieli; a zatem 24 naprzeciw 24. Gdy dzień wyborów nadszedł, uwijali się żydzi, jak gdyby mieli jutro do Palestyny wyjechać, ażeby Polaków (półurzędników) zmusić do głosowania na Niemca. Lecz nie udało się. Nasi przeszli, i to pp. Barański i Kaniasty, znani jako dobrzy Polacy i dbający zawsze o dobro swych współobywateli. Brawo Gębiczanie! *Swój.*

* **W Pleszewie** z powodu aresztu za strejk szkolny, ustanowiono jeszcze dwóch nauczycieli z rozkazu regencyi — na koszt gminy, mimo, że dozór szkolny żądanie regencyi odrzucił.

* **W Krotoszynie** uchwaliło stowarzyszenie niemieckich katolików zwrócić się z prośbą do rządu pruskiego, żeby mieszkańcy niemiecko-katolicy uwolnieni zostali od ciężarów gminnych spowodowanych pomnożeniem nauczycieli. No, no?!

* **W Bydgoszczy** wydała policya zakaz zamykania destylacyi i restauracyi o godzinie 8 wieczorem, i to w tych miejscowościach, w których dzieci szkolne strajkują. (?!) Tak donosi „Posenerka“. — Brawo! niech policya zakaz ten podtrzyma na zawsze.

* **Gniezno.** Hotel Koschnickiego nabyła na subhaście za 155 000 marek tamtejsza Kasa Pożyczkowa, która na posiadłości tej miała zahipotekowaną większą pretensyą, jak pisze „Lech“.

* **Łobżenica**, d. 14. 11. 06. „*Rolnik*“ w Łobżenicy. Dnia 25 października został przez ks. Patrona Wawrzyniaka założony, 1 listopada sądownie zapisany. Dnia 1 bm. rozpoczął swoją czynność. Do Zarządu zostali wybrani ks. Raczkowski z Górki jako dyrektor, p. Wojciechowski jako kasyer, p. Mrela jako kontroler. Prezesem rady nadzorczej jest p. Jachocki z Florowa, wiceprezesem p. Szarkowski z Ferdynandsdorfu. *J.*

* **Miłosław.** W niedzielę, dnia 11-go bm. odbyło się w Miłosławiu staraniem „Pań Miłosierdzia“ przedstawienie amatorskie z koncertem, które tak zadowoliło widzów i wypadło z tak pomyślnym rezultatem kasy, że czujemy się zobowiązane na tem miejscu wyrazić Szanownym amatorkom i amatorom nasze uznanie, i podziękować jak najserdeczniej, iż nie żałowali czasu, trudu i pracy, ale z całem poświęceniem darzył nas każdy swym talentem, jak śpiewem, grą, muzyką, tańcem i deklamacyą, o wykonaniu mogącem zadowolić najwybredniejsze wymagania. Wypada nam jeszcze zaznaczyć, że znany metr tańca p. Antoszewski nie tylko odtańczył z p. D. pełną gracyi cachuchę (?), ale zajął się bezinteresownie wyprowadzeniem mazura w 4 pary, jakiego w Miłosławiu jeszcze nie widzieliśmy. Również wdzięczni jesteśmy wszystkim, którzy pod sceną w urządzeniu i przygotowaniu tak chętnie nam pomagali. — Wszystkim razem wyrażamy w imieniu biednych publiczne „Bóg zapłać.“

Do kasy wpłynęło 380 mr., koszta wyniosły 153,75 mr., czysty zysk 226 mr. 25 fen.

Zarząd Tow. św. Wincentego a Paulo.

* **Z Westfalii.** Od Zarządu „*Zjednoczenia Zaw. Polskiego*“ odebraliśmy wiadomość o powiększeniu liczby obwodów knapszaftowych. Obwody wybierają w dniu 23 bm. swoich starszych. Polacy nie zasypiają gruszek w popiele, lecz postawili swoich kandydatów i agitują usilnie za tem, żeby ich przeprowadzić. Jako hasło wyborcze wysunęli Polacy następujący program dla przyszłych starszych:

1) Zupełne równouprawnienie robotników w zarządzie knapszaftu.

2) Podwyższenie zapomogi podczas choroby do $^3/_4$ zarobku i wypłaty wsparć także za niedziele i święta.

3) Wypłacanie wsparcia chorych od dnia pierwszego.

4) Wolny wybór lekarzy (także nieknapszaftowych).

5) Podwyższenie renty dla wdów i sierot.

6) Podwyższenie renty dla inwalidów do $^3/_4$ zarobku po 25 latach opłacania składek.

7) Wypłacanie całej renty knapszaftowej obok państwowej.

Kandydatów swoich postawiło „Zjednoczenie“ w Osterfeld, Marxloh, Wanne, Buer, Herne i Horstermark.

Z naszej strony zasyłamy rodakom naszym serdeczne życzenia. Szczęść Boże!

* **Lütgendortmund**, Westfalia. Ponieważ z naszej miejscowości nikt się publicznie nie odezwie, więcby można sądzić, że tutaj wszystko w najlepszym porządku, ale niestety tak nie jest. W naszem Lütgendortmund idzie wszystko bardzo ospale, czego dowodem liche wiece, któremi się bardzo mało rodacy interesują. Mamy także w naszej miejscowości komitet kościelny, który ma wywalczyć lepszą opiekę duchowną, gdyż pod tym względem dzieje się nam wielka krzywda. I tak do ostatniej spowiedzi wielkanocnej czekaliśmy na księdza Polaka nieomal siedem miesięcy, a przecież w parafii Lütgendortmund zamieszkuje przeszło 1500 Polaków katolików, więc wysłaliśmy petycyą do księdza proboszcza, żądając stałego księdza, rozumiejącego nasz język polski. Po 14 dniach otrzymaliśmy od księdza proboszcza odpowiedź, że mamy iść do Polski, do naszego Arcybiskupa, aby nam dał polskich księży, bo on polskich księży nie ma.

Tenże ksiądz proboszcz nie chce zezwolić Sokołom brania urzędowo udziału w procesyi Bożego Ciała, chociaż nasz Sokół składa się z samych katolików Polaków.

Mamy tu także na obczyźnie Świętojózafacie, które ma na celu wspieranie kształcącej się młodzieży polskiej, a przeważnie tej, która obrała zawód duchowny. Dotychczas mamy już dwóch księży, którzy wsparcie ze Świętojózafacia brali. Z tych ksiądz S. miał się wyrazić wobec pewnego przemysłowca polskiego, że naród polski za czasów istnienia naszej wolnej Ojczyzny, był najgorszym ze wszystkich narodów na świecie. Tak się miał wyrazić wychowaniec Świętojózafacia na które my robotnicy ciężki nasz grosz składamy.

W końcu życzę *kochanej naszej „Pracy“, tej prawdziwej szermierce na polu oświaty narodowej*, jak największego zastępu nowych abonentów.

Robotnik-tułacz.

* **Skład galanteryjny** wraz z domem w czysto polskiem mieście przy rynku, za wpłatą 200 mk. jest **zaraz** do nabycia. Zgłoszenia uprasza Biuro Straży p. adr. *dr. Tadeusz Jaworski, Poznań-Posen.*

* **Rzeźnik i golarz** — Polacy potrzebni są do Werne pod Langendreer we Westfalii. Muszą być tęgimi zawodowcami i dobrymi narodowcami.

Nekrologia.

† Ś. p. *ks. Teodor Pokorski*, wikary z Ujścia w W. Ks. Poznańskiem, umarł dnia 15-go b. m. u brata swego, ks. proboszcza Pokorskiego w Płochocinach, w Prusach Zachodnich, w niespełna skończonym 28-ym roku życia a 5-ym kapłaństwa R. i. p.

† S. p. *Wanda Kulesza*, dnia 15-go b. m. w Gnieźnie. R. i. p.

† Ś. p. *Marya z Horwattów Maciejowa Chłapowska*, dnia 17-go b. m. w Poznaniu, licząc 60 lat życia. Pogrzeb odbył się w Czerwonej wsi. R. i. p.

† Ś. p. *Adam Karyłowski*, właściciel dóbr ziemskich, dnia 15-go b. m. w Grochowiskach pod Rogowem. Zwłoki złożono w grobach familijnych w Rogowie. R. i. p.

† Ś. p. *Wojciech Wyszyński*, dnia 17-go b. m. w Inowrocławiu, przeżywszy lat 48. R. i. p.

† Ś. p. *Konstanty Błaszczyk*, dnia 17-go b. m. w Poznaniu w 37-ym roku życia. R. i. p.

Nasza ofiarność.

Brak jest wielki wszędzie **Katechizmów polskich dla dziatwy polskiej.** Na cel ten wpłynęła bardzo mała sumka, a potrzeba katechizmów polskich jest dzisiaj tak konieczna, jak chleb powszedni, więc odzywamy się do miłosiernych serc naszych Czytelników, aby na ten cel tak szlachetny i tak naglący składali jak najliczniejsze, choćby najmniejsze ofiary.

Podwójnie daje, kto szybko daje!

Składki jak najchętniej przyjmować będziemy.

Na cel powyższy nadesłał nam pan St. Kochowicz z Bruckhausen (Nadrenia) 33 mrk. 50 fen. Sumę tę złożyły następujące osoby; St. Kochowicz 2 mrk; Feliks Baerwald 1 mrk; Stef. Jajor 1 mrk; T. Frąszczak 1 mrk; od Rodaków z Hattingen 3, 30 mk.A. Michczyński 2 mrk; Leon Szumiński 50 fen. R. Talarczyk 1,50 mrk; Jan Sikorski 1 mrk; Jak. Kosiak 1 mrk; Jak. Kórowski 50 fen; Fr. Jeziorny 1 mk; Fr. Bojankowski 50 fen; Mar. Skowroński 50 fen; Br. Maćkowiak 50 fen. Ant. Mrowicki 1 mrk; Fr. Kuczma 1 mrk; Józef Potrawiak 1 mrk; Jan Radajewicz 1 mrk; Kaź. Jankowiak 1 mrk.; D. Wiśniewski 1 mrk.; W. Górczyński 50 fen.; M. Szymański 50 fen; Jan Juszczak 5 mrk; Mar. Juszczak 50 fen; Jak. Zywiaławski 1 mrk; Zofia Laurentowska 1 mk; Kar. Laurentowski 1 mrk. Suma 33, 80 mrk. odchodzi porto 30 fen. Razem jak wyżej 33 mrk. 50 fen.

* * *

— **Na kościół w Morzewie** złożyli w dalszym ciągu: ks. prob. Has z Wysoki od siebie i parafian 75 mk; ks. prob. Kempski ze Smogulca 20 mrk; Natanson z Torunia 10 mk; Łapacz z Kaczorów 5 mrk; Marcjanna Polcyn z Poznania 2 mrk; Józef Izban z Wremen 3 mrk; Karól Kaczmarski, Stare Oborzysko, 1 mrk; Oton Jagiełka z Misselwerde 1 mrk; Jan Klessa z Radkowa 1 mrk; Karól Fepka z Misselwarde 1 mrk; Roch Wałoszczyk z Rakowa 2 mrk; Józef Pisula z Granic 1 mrk; Jan Rabiega z Rakowa 1 mrk; Fryderyk Becker z Lehe 1 mrk; Jan Piszczek z Walentynowa 1 mk; N. N. z Morzewa 10 mrk; N. N. ze Skwierzyny 5 mrk; N. N. z Kcyni 5 mrk; Józefa Hiża z Kcyni 1 mrk; Jakób Kaja z Zeitz 15 mrk; N. N. z Wysoki 2,50 mrk.

Marcjanna Stachowiak z Rydzyny 3 mrk; Melanja F. z Kaczewa 5 mrk; N. N. z S. 10 mrk; Br Lehmann z Wielkiej Łęki

6 mrk; I. W. z Dziembowa 10 mrk; Rochowski 9 mrk; Walenty Piosik z Rzadkowa 2 mrk; Fr. Kaube z Herne 5 mrk; Stanisław Pieszchalski z Wattenszeid 2 mk; W. i B. Drążkowscy po 50 fen; Pr Kanek z Resse 2 mrk; Kazimierz Przybył z Kaczorów 3 mrk; Stanisław Górzeński, Stanisław Pluskota, Jan Wojtkowiak, Stanisław Jaskuła, Fr. Przybylak, Jan Kaniewski, wszyscy z Poznania, po 1 mrk; Antoni Haufe 1,26 mrk; Marcin Michalak z Poznania 50 fen; Augustyn Szotkiewicz z Poznania 85 fen; Rehter z Warszawy 1 mrk.

Oprócz tego otrzymałem z Poznania od M. K. 1 albę, 2 komże; 2 komże dla chłopców; 1 komżę dla kościelnego; nadto piękny obraz Przemienienia Pańskiego, bardzo pożądany i jakby potrzebą odczuty, bo u nas odpust się odprawia Przemienienia Pańskiego, a stary wspaniały obraz w wielkim ołtarzu, przedstawiający Przemienienie Pańskie, się spalił.

Wszystkim wspaniałomyślnym ofiarodawcom serdeczne składam Bóg zapłać, i proszę pokornie o dalsze ofiary.

Morzewo p. Erpel. Bez. Bromberg.
Ks. Leon Klarowicz. pleban.

* * *

Na weterana z roku 1863-go, schorzałego i biednego, zagrożonego wydaleniem z mieszkania wobec nadchodzącej zimy: pp. J. B. z Łaszina 10 mrk; Pelagia Wuschowa z Kudowy 2 mrk.

O dalsze ofiary bardzo prosimy, gdyż na zimę nadchodzącą zostanie biedny weteran bez dachu nad głową.

* * *

Na głodnych Rodaków w Królestwie: p. R. P. z Torunia 3 mrk.

Od Redakcyi.

— Do W. Strzelc G. Śl. — Według informacyi nam nadesłanej istotnie pp. Kardolińcy w W. Strz. drogeryę otwierają. Nam się wydawało nawet, że ta drogerya już jest otwarta. Prosimy o doniesienie nam, czy to się jeszcze nie stało. Pozdrawiamy.

— Zjednoczeniu Zaw. Polskiemu w Bochum. — Wiadomość odebraliśmy zapóźno. Szan. Zarząd zapomina o tem, że „Praca" jest tygodnikiem. Do Westfalii dochodzi najwcześniej w niedzielę rano. Jeżeli jest więc jakaś wiadomość, odezwa, która poleca coś na *sobotę*, to trzeba ją przesłać nie na poniedziałek przedtem lecz na 2 tygodnie przedtem. Wiadomość zużytkowaliśmy w inny sposób. — Na przyszłość prosimy o wcześniejsze przesyłanie nam komunikatów urzędowych.

—Czytelnikowi z Krotoszyna. — Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale listów bez podpisu nie zamieszczamy.

Panu W. do Strzałkowa: Jeśli Pański syn bez wytłomaczenia (n. p. że był chory) nie był na owej lekcyi, to na zasadzie prawa nauczyciel mógł Pana zapisać na karę. Wysokość kary zależy od nauczyciela. Granica jest prawem przepisana. Czy nauczyciel ma prawo syna Pańskiego nazywać — *„Wenzel"?* Niestety — ma. bo syn Pana przecież i w urzędzie cywilnym zapisany jest jako „Wenzel" — a w nawiasach „Wacław". Na to więc, że nauczyciel syna Pańskiego woła „Wenzel" niema rady. Niech Pan atoli pamięta o tem, ażeby w świadectwach wypisywano obok Wenzel także Wacław.

Rozmaitości.

Dwór — forteca. Obawa przed napadami grasujących po kraju rozbójników, zmusza właścicieli ziemskich w Królestwie do przedsiębrania nadzwyczajnych środków ochrony. Właściciel jednego z majątków w ten sposób przygotował się do odparcia napadu: Wszystkie wejścia boczne do murowanej oficyny, w której zamieszkał, porzuciwszy dwór drewniany, nakazał zamurować, okna w oficynie zaopatrzył w grube opancerzone okiennice, jako też jedyne drzwi wejściowe. Na wypadek wysadzenia ich, w sieni ustawiona jest sprowadzona z Anglii ręczna kartaczownica, zdolna do wypuszczenia kilkuset kul w ciągu jednej minuty. Na górce w pokoju urządzony jest skład broni, złożony z kilku karabinów, kilkunastu sztucerów i strzelb, nie licząc rewolwerów. Przezorny właściciel majątku obrachował, iż gdyby bandyci zaopatrzeni byli w środki do zdobycia tak urządzonej fortecy, to w każdym razie musieliby to opłacić stratą conajmniej kilkunastu ludzi ze swej bandy.

* * *

W walce o ziemię w dzielnicach polskich najnowszym środkiem zastósowanym ze strony niemieckiej jest t. zw. „Mittelstandskasse" w Poznaniu. Ma ona głównie zapobiedz przechodzeniu niemieckich gospodarstw chłopskich w ręce polskie, przez zamianę drobnych posiadłości gospodarskich na włości rentowe Komisyi kolonizacyjnej.

Obecnie podaje „Posener Tageblatt" pierwsze sprawozdanie z działalności „Mittelstandskassy." W początku stawiono tylko 78 wniosków o zamianę gospodarstw chłopskich na włości rentowe. Do końca maja r. b. wniosków takich było już 308 z obszarem 6000 hektarów. Od maja do chwili obecnej stawiono dalsze 100 wniosków, których atoli jeszcze nie uwzględniono. Z wymienionych 308 wniosków korzystało 150 gmin w 34 powiatach Księstwa. Korzystały więc z „Mittelstandkassy" wszystkie powiaty z wyjątkiem czterech.

W czynności Kasy biorą udział miejscowe kasy pożyczkowe, które na podstawie dokładnej znajomości stosunków odnośnych gospodarzy, taksują grunty, a następnie przyjmują poręczenie za wysokość renty wypłacanej przez Komisyę kolonizacyjną. Komisya wychodzi na tem lepiej, niż na urzędowych taksatorach, gdyż dyrektorzy kas pożyczkowych znają lepiej położenie finansowe gospodarzy i wartość odnośnego gruntu, niż oficyalni rzeczoznawcy.

Poręczenie za rentę przyjęło do 1-go kwietnia 1905 roku 50 spółek pożyczkowych, z których 21 należy do związku Offenbachskiego, a 29 do Reiffeisenowskiego. W Prusach Zachodnich rozwija tę samą działalność, co w Księstwie „Mittelstandskasse," „Deutsche Bauernbank" w Gdańsku.

* * *

Chłop i socyalista. W pismach warszawskich znajdujemy próbkę dowcipu chłopa polskiego, zarazem jowialnego i uszczypliwego. Do posła Manterysa, włościanina z Królestwa Polskiego, zbliżył się w dumie na parę tygodni przed jej rozwiązaniem jeden z socyalistycznych posłów rosyjskich, tak zw. „trudownik" i zapytał z ironicznym uśmiechem:

— Powiedzcie, kolego, cobyście też wybrali, gdyby wam dano do wyboru: z jednej strony podział wszystkiej ziemi między chłopów, z drugiej zaś Orła Białego

— Pytanie za pytanie. A co wy byście wybrali, gdyby z jednej strony dano wam ikonę Matki Boskiej, a z drugiej zaś... wiązkę siana?

— Cóż za pytanie! Wiadomo, że ikonę!

— A gdyby przyprowadzili krowę, co też ona by wybrała?

— Dziwny z was człowiek! Naturalnie, że krowa za siano schwyci...

— A wiecie dla czego? Bo to tylko bydlę i nic więcej!

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

30) Opowiedział
Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

— Najjaśniejszy Panie, — pisał przekonywująco w obszernym memoryale — czyż nie znasz dwulicowości polityki pruskiej, czy nie wiesz, iż dla Rosyi są szkodliwe skutki ścisłego łączenia się z Prusami, które względem Francyi odgrywały zawsze rolę płatnego komisyonera i donosiciela! [1])

Ale od tych dosadnych słów, od tego nikczemnego wiarołomstwa Prus snać silniejszem było w Aleksandrze uczucie osobistej przyjaźni dla pruskiego króla, skoro wytrwał w swem, raz powziętem, postanowieniu.

Tymczasem w zachodniej i środkowej Europie następowały nagłe zmiany. Napoleon wypędzał królów a osadzał na ich tronach swoich braci i rozdawał zabrane posiadłości swoim krewnym. Dnia 1-go sierpnia 1806 r. szesnastu książąt niemieckich złączyło się w tak zwaną *ligę reńską* i uznało protektorat Napoleona, a cesarz Franciszek II-gi zrzekł się korony cesarskiej. Wkrótce Prusy [2]), ufne w potęgę Rosyi, wracające do dawnej pychy, złamały traktat zawarty z Napoleonem i wypowiedziały mu wojnę.

Ale jakaż straszna a zasłużona kara miała je spotkać za to wiarołomstwo!

Jak wezbrana fala posuwały się zastępy wojsk francuskich ku granicom pruskim, ściskały jakby żelazną obręczą rozrzucone posiadłości Hohenzollernów, a gniewny Napoleon krzyczał nad głową pokornego posła pruskiego Haugwitza w Paryżu:

— Wiesz?!... ja przywrócę Polskę! Wiesz... Polska krwawą wam będzie!... Wiesz... co z wami wtedy się stanie?!......

Wobec tak nagłego działania Napoleona król pruski w Berlinie wpadał w rozpacz. Biegał po komnatach, wołał o ratunek, nie wiedząc jak sobie radzić. I chwycił się rozpaczliwego środka.

— Generale, ratuj monarchię i nas! — zawołał rozpaczliwie do Knobelsdorffa — jedź zaraz do Napoleona, żądaj usilnie, aby jak najprędzej wycofał wojska francuskie z Niemiec i aby zezwolił na utworzenie związku północno-niemieckiego pod przewodnictwem Prus!

W odpowiedzi na takie żądanie Prus roześmiał się szczerze dumny Napoleon i zaraz posunął dalej ku granicom pruskim swoje wojska, a dnia 12-go października napisał do Fryderyka Wilhelma III następujące wesołe słowa:

— Żądałeś Wasza Królewska Mość odpowiedzi do 8-go bieżącego miesiąca, jako dobry rycerz przynoszę Ci ją sam!

I w pięć dni po wypowiedzeniu wojny przez Prusy (14-go października 1806 r.) Napoleon zbił sromotnie Pru-

[1]) Sokołowski (IV, 1318) według: „Memoires du prince Adam Czartoryski", t. II, str. 134.

[2]) Kiedy odbywał się przegląd wojsk pruskich w Poczdanie, mówił starszy wojskowy Rüchel, pusząc się, do króla:
— Takich generałów, jak pan Bonaparte, posiada armia W. K. Mości daleko więcej!

Czerwony znak.

11) Z włoskiego tłumaczył A. P.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XVIII.

Nazajutrz przyszedł Hamilton po Stellę i oboje udali się na Regent-Street. Za pomocą księgi adresowej znalazł dokładny adres owej firmy, od której zamierzał żądać informacyi co do Caradiniego.

Hamilton nie próbował wcale trzymać w tajemnicy swego zamiaru i nie przedsięwziął żadnych środków ostrożności. Powiedział sobie, że jest mu zupełnie niemożliwem uniknąć szpiegów Macropula, chyba, gdyby się zdecydował na opuszczenie Londynu. Bywanie jego w domu barona i chodzenie po mieście z Stellą nie mogło w jego przeciwnikach wzbudzać żadnych domysłów; wspólna ich wycieczka na Regenstreet nie mogła zwrócić na nich żadnego podejrzenia, ponieważ spiskowcy nie wiedzieli w jakim celu tam idą.

Ponieważ Hamilton był zdecydowany, nie oddawać sprawy tej w żadne obce ręce, przeto było osobiste, na pozór niewiele znaczące zasięgnięcie wiadomości o artyście jedynem, co mógł czynić. O listownem bowiem zapytaniu byłby się Caradini natychmiast dowiedział, i to mogłoby zbudzić w nim bardzo uzasadnione podejrzenie. Gdy się zbliżali do owego sklepu, uznał Hamilton jednak za stosowniejsze wejść tam bez Stelli. Zaprowadził ją więc do pobliskiej cukierni, dokąd miał znowu przyjść po nią, i udał się sam do sklepu Marka Poradi.

Właściciela fabryki nie było w domu, Hamilton więc zwrócił się do ich pełnomocnika, młodego i bardzo uprzejmego człowieka, który z całą gotowością oświadczył, że służy mu wszelkiemi informacyami. Hamilton, mając już tajemnic po same uszy, rzekł zaraz otwarcie:

— Pragnąłbym bardzo mieć adres obecny pana Caradiniego, młodego rzeźbiarza, który jak słyszałem, pracuje z polecenia pana Poradi!

— Caradini? Alfons Caradini? Tak — właśnie pracuje on u nas!

— Bardzo mnie to cieszy — zawołał Hamilton, tłumiąc mimowolne wzruszenie, jakie go na słowa te ogarnęło. — Czy wolno zapytać, gdzie się chwilowo pan Caradini znajduje?

— Poczekaj pan chwilę — rzekł pełnomocnik — zaraz panu dokładnie wszystko powiem.

I odprowadziwszy innego jakiegoś gościa do drzwi, wrócił zaraz do Hamiltona.

— Caradini — zaczął — znajduje się w dobrach lorda Vanstona w Staines i pozostanie tam pewnie dłuższy czas. Słyszałeś pan może już, że nasza firma zbudowała tam wspaniały grobowiec, cały prawie z marmuru? Wszystkie gazety pisały o tem!

— Owszem — odrzekł Hamilton — czytałem o tem niedawno!

Przypomniał sobie rzeczywiście, że czytał długi artykuł, tyczący owego kosztownego, niezwykłego grobowca.

— Będzie to najwspanialszy grobowiec nietylko w całej Anglii, — mówił pełnomocnik dalej, — ale może i w całej Europie. Wszystkie stare nagrobki i pomniki rodziny Vastonów mają tam być umieszczone. Marmur jest sprowadzony z Włoch, w dwóch kolorach, białym i różowym i tutaj w Londynie zostanie ociosanym. Pierwszorzędni artyści pracują nad tym grobowcem, mój szef sprowadził ich z rozmaitych stron świata!

— I kiedy mauzoleum to ma być skończone? — zapy-

saków pod Jeną [1]), a jego marszałek Davoust pod Auerstädt [2]), wskutek czego taki powstał popłoch wśród nich, że twierdze same otwierały swe bramy i poddawały się Francuzom, a król pruski, umykając co miał sił, nie opamiętał się aż w Królewcu. Wszyscy też ci puszący się niedawno bohaterowie i rycerze pruscy byli już w niewoli, a w Berlinie rządzili prefektowie francuscy. Im większą była pycha pruska i pewność zwycięstwa w chwili rozpoczęcia wojny, tem szybszym teraz upadek ducha i ogólne zwątpienie [3])

Nieuniknionym jest upadek monarchii Hohenzollernów! — powtarzano teraz wszędzie.

W 10 dni po owych klęskach pruskich (24 października 1806 r.) sam Napoleon wjechał już do Berlina i ogłosił swój sławny *system kontynentalny,* którego celem było zniszczenie Anglii [4]).

Z tych nowych zwycięstw oręża francuskiego miała odnieść korzyść Polska, o której myślał Napoleon, gdy na tę wojnę się wybierał. Myślał jednakże o tej Polsce nie dla niej samej, lecz dla siebie, bo już wtedy przewidywał słusznie i układał sobie:

— Wiem, że Prusy łatwo pokonam, lecz czeka mnie nieuniknione starcie z Rosyą i w tym celu muszę przenieść działanie wojenne nad Wisłę!

Myśląc o Polsce, chciał więc odebrać Austryi Galicyę a dać jej za to Śląsk; wydał rozkazy generałowi Zajączkowi, ażeby utworzył nową legię polską, t. zw. północną; z Włoch wezwał do kraju pozostałe tam jeszcze resztki Legionów polskich; armiom swoim kazał wkroczyć w granice ziem polskich i wezwał do siebie Henryka Dąbrowskiego z Włoch, Wybickiego z Drezna i Kościuszkę z Paryża.

Potężny cesarz Francuzów, niezwyciężony wielki wódz wysoko cenił „bohatera północy", ukochanego Naczelnika Polskiego Narodu, Tadeusza Kościuszkę i jak tylko powrócił z Egiptu zaraz osobiście go odwiedził. Teraz w szybkiem działaniu, wysłał polecenie w liście do ministra policyi Fouchego:

— Proszę zaraz, ale w najgłębszej tajemnicy wyprawić Kościuszkę i Polaków z Paryża do Berlina!

Ale Kościuszko, przejęty na wskroś zasadami republikańskiemi, skrzywdzony nieszczęściami ojczyzny, nieufny i ostrożny, rozważał teraz i rozmyślił:

— Ja mam wierzyć tej Francyi i temu Napoleonowi, po takiem postępowaniu z naszymi Legionami? Temu samolubnemu władcy, któremu nie ufam, któremu długich

[1]) Jena, miasto nad Saalą w Sasko-Wejmarskiem, ma uniwersytet (założ. r. 1558), sławny z wykładów filozofii, bibliotek i zbiorów naukowych. Napoleon dowodził tu armią liczącą 106,000 ludzi, Prusaków było 130,000.

[2]) Auerstädt, wieś w pow. Eckartsberg, w pruskiej reg. Merseburskiej. Marszałek francuski Davoust na czele 33,000 armii pobił tu księcia Karola Wilhelma Brunświckiego, walczącego na czele 50,000 Prusaków.

[3]) Prusacy stracili swą dawną fantazyę a nawet i wstyd. Ów Moellendorf, tyle dokazujący niegdyś przeciwko bezbronnej Polsce, poddał się w Erfurcie na czele 14,000 armii (16 paździer.). W końcu października i początku listopada 1806 r. poddały się twierdze: Spandawa, Szczecin, Magdeburg. Jak Moellendorf w Erfurcie, książę Hohenlohe w Prentzlowie, tak Blücher zdał się na łaskę pod Ratkau, mając przecież 20 tysięcy wojska i 12 generałów (7 listop. 1806 r.). — Morawski VI, 58.

[4]) Wskutek zawziętej nieprzyjaźni i wojny z Anglią, gdy ta ogłosiła się panią oceanu i zamknęła wszystkie porty dla innych narodów, Napoleon ogłosił w Berlinie dnia 21 listop. 1806 r. t. z. *system* albo *blokadę* kontynentalną, której treść: 1. Wszelki handel i łączność z Anglią wzbroniona; 2. Każdy poddany angielski, ukazujący się na stałym lądzie, uważany będzie jako jeniec wojenny; 3. Wszelkie listy, pakiety, towary, magazyny i wszelka własność angielska wyjętą zostaje z pod opieki prawa, będzie skonfiskowana i spalona; 4. Wszelki i gdziekolwiek będący okręt angielski może być zabrany jako zdobycz prawna. System ten, obmyślany przez Napoleona na zgubę Anglii, był wykonany ściśle w krajach sprzymierzonych z Francyą. — Encyklop. Orgelbr.

---

tal Hamilton, chcąc okazać pewne zajęcie dla opowiadania pełnomocnika.

— Mamy nadzieję, że za kilka tygodni! Caradini wykonuje teraz ostatnie prace rzeźbiarskie. Chodzi tylko jeszcze o balustradę marmurową i o kilka drobnostek.

— Jestem panu bardzo wdzięczny za informacyę, — rzekł Hamilton, zwracając się ku drzwiom.

— Jeżeli chodzi o jakie polecenie dla pana Caradiniego, — zauważył pełnomocnik, — to byłoby nam bardzo przyjemnie, gdybyś to pan zechciał uskutecznić przez naszą firmę!

— Nie, chodzi tu wyłącznie o sprawy osobiste małej wagi, ale uprzejmością swoją oszczędziłeś mi pan dużo trudu!

— Bardzo się cieszę!

Hamilton pożegnał go i wyszedł.

Lord Vanstone należał do najstarszej i najbogatszej arystokracyi angielskiej. Był on już stary, schorowany i przepędzał większą część roku w Włoszech. Dawniej zajmował bardzo wysokie stanowisko na dworze królewskim, dla tego też przypuszczał Hamilton, że baron Ravendale zna go bliżej. Nie tracąc więc ani chwili, poszedł do cukierni po Stellę, wynajął dorożkę i pojechał natychmiast do gmachu ministeryum spraw zewnętrznych.

Stelli nie chciał od razu wszystkiego jeszcze powiedzieć.

— Mam adres od Caradiniego, — rzekł krótko, — i muszę się teraz widzieć z baronem Ravendale.

Stella nic na to nie odpowiedziała i tak w milczeniu jechali dalej.

Stella pozostała w dorożce podczas kiedy Hamilton wszedł do olbrzymiego gmachu. W przedsionku napisał kilka słów na kartce wizytowej, z prośbą o natychmiastowe przyjęcie i posłał ją przez jednego z służących baronowi Ravendale.

Baron kazał go prosić, lecz gdy Hamilton wszedł do jego pokoju, rzekł, wskazując na stos aktów i listów na biurku:

— Złe obrałeś godzinę, kochany panie doktorze, na dłuższą rozmowę!

— Ja też nie myślę długo tu bawić, — odpowiedział Hamilton, — kilka minut wystarczy mi zupełnie! Możesz pan mi wierzyć, że nie przychodziłbym tu, gdyby mnie ważne powody do tego nie zmuszały. Znasz pan bliżej lorda Vanstona?

— Vanstona? Zapewne! Pracowaliśmy dawniej zawsze razem, lecz on dla zdrowia musiał wziąć dymisyę.

— Lord Vanston przebywa obecnie we Włoszech, proszę więc pana usilnie o kilka słów polecających do jego plenipotenta. Jeden z moich przyjaciół, Frank Middleton, pisze dzieło o najsławniejszych pomnikach i nagrobkach angielskich — proszę, nie śmiej się pan! i pragnąłbym uzyskać pozwolenie skopiowania napisów na nagrobkach sławnych przodków lorda Vanstona!

— Jesteś pan tak tajemniczym, jak nikogo podobnego w życiu mojem jeszcze nie widziałem, — odrzekł baron śmiejąc się.

— Może być, ale nie pora teraz o tem myśleć! Bądź pan łaskaw napisać mi list polecający dla — dla mego przyjaciela, Franka Middeltona! Taki list polecający pana, równa się rozkazowi.

— Ma to styczność znowu z tą sprawą?

— Naturalnie, ale chwilowo nie chciałbym wszystkiego jeszcze powiedzieć.

— Dobrze więc, pragnę pomódz panu o tyle, o ile to w mej mocy. Otrzymasz pan list polecający dla — przyja-

powodzeń nie rokuję? Nie, ja nie chcę przykładem moim obudzać ufności w rodakach, ale ja chcę pierwej widzieć rękojmię!

Więc bez wahania z całą szczerością uczuć i szlachetnością serca odpowiedział wysłańcowi ministra:

— Nie mogę wziąć udziału w sprawie, chyba pod następującemi warunkami: Żądam mianowicie zaręczenia krajowi dawnych granic i bezpieczeństwa swobód, a między niemi zapewnienia własności ziemskich dla włościan!

I na wezwanie Napoleona nie przybył, który też zwrócił się do innych osób [1]).

Inaczej postąpił Wybicki. Gdy dążącego z Drezna ku granicy śląskiej dopędził adjutant Dąbrowskiego z wezwaniem, aby się stawił przed Napoleonem, Wybicki czemprędzej podążył do Berlina, gdzie władca Europy, pogromca wiarołomnych i znienawidzonych Prusaków oczekiwał go w towarzystwie marszałka Berthiera i Dąbrowskiego i chodząc po pokoju tak przemówił do niego:

— Obywatelu, wypada mi ścigać nieprzyjaciela przez Polskę, więc ja ten kraj rozszarpany i zatracony chcę wskrzesić, ale muszę wiedzieć, czy wojsko znajdzie w nim wygody i żywność?

A Wybicki, czujący się niezmiernie szczęśliwym i patrzący z zachwytem na wielkiego cesarza, przyszłego zbawcę Polski, zawołał z całym zapałem:

— Najjaśniejszy Panie, jeżeli wnijdziesz do kraju naszego jako zwycięsca, wszystko nakazać możesz, ale jeżeli wchodząc oświadczysz się być naszym wskrzesicielem, wszystko sami ci poniesiem w ofierze!

To mówiąc nie spodziewał się, że z tych szczerych słów jego uczynią mu w kraju niesłuszny zarzut, że tak bezwzględnie i bezwarunkowo zdał Polaków na łaskę Napoleona.

Cesarz zadowolony z odpowiedzi Wybickiego rzekł szybko:

— A więc obywatelu napisz zaraz odezwę do Polaków i natychmiast ją ogłoś drukiem [2]).

I z polecenia Napoleona Dąbrowski wraz z Wybickim udali się do ziem polskich, ażeby przygotowywać tam umysły i organizować siły zbrojne. To tworzenie sił zbrojnych należało do zakresu działania Dąbrowskiego, Wybicki miał urządzać kraj administracyjnie.

Witano tych pełnomocników cesarskich z okrzykami niepowściągnionej radości. Mieszkańcy Poznania czekali na nich do późnej nocy z pochodniami, a kiedy ukazali się na drodze, lud wyprzągnął konie od powozu i sam zaciągnął ich do domu Mielżyńskich! [3]).

(C. d. n.)

[1]) Naturalnie, iż w takiej chwili, gdy kraj wyswobodzał się od nieprzyjaciela, gdy podniecanemu narodowi przybycie Naczelnika zapowiadał sam Napoleon przez usta Dąbrowskiego i Wybickiego, w takiej chwili wstrzymanie się jego od udziału nie mogło być dla Polski korzystne. Bo Kościuszko przy boku Napoleona, Kościuszko na czele ruchu narodowego w Warszawie, byłby dopiero zaważył na szali wypadków i byłby powagą swoją przyczynił się do uśmierzenia wzajemnych niechęci i niesnasek, jakie wśród warstw przewodzących w kraju objawiały się tak szkodliwie dla sprawy narodowej. Morawski VI, 60, 65; Sokołowski IV, 1320, 1321, 1322. — Ten drugi autor dodaje, iż Napoleon wiedział doskonale, jak niepewnym jest los wojny, a oddalony od Francyi, mający przed sobą całą potęgę rosyjską, za sobą Niemcy, niechętnie znoszące jego jarzmo, za morze nieubłaganego a strasznego wroga Anglię, na prawem skrzydle Austryę drżącą z obawy o swoje posiadłości polskie, nie był wstanie wyrzec słowa stanowczego o odbudowaniu Polski ani wyraźnie zgodzić się na żądanie Kościuszki (list tegoż do Fouchégo z 22 stycz. 1807 r., — u Korzona: Kościuszko str. 523), *że granice Polski będą się ciągnęły od Rygi do Odesy z jednej, a od Gdańska do Węgier z drugiej strony.*

[2]) Sokołowski, IV, 1320.

[3]) Morawski, VI, 59.

---

ciała twego. Ale bądź ostrożnym, kochany doktorze. Nie zapominaj o niebezpieczeństwie, jakie ci grozi, jeżeli się wmieszasz w podobne sprawy.

— O, ja będę bardzo ostrożny — zawołał Hamilton, śmiejąc się wesoło. — Niech się pan o mnie nie obawia!

Dziesięć minut później wracał z listem w kieszeni do Stelli.

— Pójdź pani — rzekł, pomagając jej wysiąść — pokażę pani teraz cuda opactwa Westeminster. Potem pójdziemy pieszo, bo to niedaleko ztąd do domu.

Stella zgodziła się chętnie na jego propozycyą. Oprowadzał ją więc po całem opactwie i pokazywał wszystko, co było godnego widzenia. Po upływie godziny nareszcie usiedli na małej kanapce, otoczonej palmami i tu zaczął Hamilton wyjaśniać Stelli cały swój plan postępowania.

— Stello — rzekł — bo teraz wydawało mu się już zupełnie naturalnem, że mówił jej po imieniu — opuszczam Londyn i nie wrócę prędzej, aż zadanie moje nie będzie ukończonem.

— Pan chcesz jechać tam — gdzie się znajduje ten człowiek? — szepnęło dziewczę.

— Tak! Chwilowo nie wiem jeszcze dokładnie jak i od czego zacznę, myślę, że najlepiej będzie pozostawić to przypadkowi. Ale pragnąłbym bardzo, abyś spamiętała dobrze wszystko to, co ci powiem. Caradini pracuje w tym tygodniu w zamku Vanstone. Masz tu jednę z moich kart, napiszę adres i nazwę najbliższej stacyi kolejowej, Staines. Miejscowość ta leży o kilka mil ztąd, po lewej stronie Tamizy.

Stella słuchała uważnie, nie przerywając mu ani jednem słowem.

— Caradini — mówił Hamilton dalej — pracuje w nowo zbudowanym grobowcu rodziny Vanstonów. Ja zmienię nieco moją powierzchowność i z pomocą Saint-Johna i jego urzędników wyjadę potajemnie z Londynu, bo jestem pewny, że szpiegi Macropula nie opuszczają mnie ani na chwilę. W zamku Vanstone będę pracował razem z Caradinim. Otrzymałem od barona Ravendale list polecający, który mi otwiera wstęp do zamku pod pozorem, że dla nowego dzieła zbieram napisy z najsławniejszych pomników angielskich. Rozumiesz teraz mój plan?

— Zdaje mi się!

— Przedewszystkiem będę się starał o to, aby zobaczyć ramie Caradiniego. Jeżeli ma na niem znak tatuowany, który oboje znamy, to nie ulega wątpliwości, że jest Henrykiem Poiton. W jaki sposób zabrać się do tego, nad tem nie namyśliłem się jeszcze. W każdym razie postanowiłem pracować sam i obejść się o ile możności jak najdłużej bez pomocy detektiwów. Gdybym jednak miał ich pomocy potrzebować, to wezwę jej natychmiast, bo nie chcę, aby nam Poiton znowu uciekł. Macropula i „Anioła“ musimy również aresztować.

— Ale jeżeli panu grozić będzie niebezpieczeństwo?

— I o tem już myślałem, jak ci to już wczoraj powiedziałem. Codziennie wieczorem napiszę do pani kartę lub list, bez wymienienia mego adresu i nazwiska. Dla uniknienia jednak możliwości odkrycia mego incognita, nie możesz pisywać do mnie. Nie oczekuję więc od ciebie żadnej wiadomości. Ja będę pisywał do pani pod nazwiskiem mego przyjaciela Franka Middleton. Spamiętasz sobie to nazwisko?

— Tak jest, Frank Middleton!

— Codziennie rano zatem możesz pani na pewno oczekiwać listu odemnie. Gdybym raz nie pisał, nie lękaj się zaraz i czekaj przynajmniej do dziesiątej na drugą pocztę. Gdyby mi nieprzewidziane jakie przeszkody nie pozwoliły wogóle pisać wieczorem, to dnia następnego przyślę telegram, który także najpóźniej o jedenastej bedzie w twoich rękach.

— A jeżeli nie otrzymam telegramu?

Mądra Basia.

Była to kobiecina ładna i młoda, a przytem dobra. Kochał ją też mąż bardzo, a nie jeden we wsi zazdrościł mu gospodarnej i poczciwej żony.

Jedno tylko, co Basię martwiło, to gniewliwe usposobienie jej męża. O co bądź najmniejszego rozgniewa się, obrazi i tak się zatnie, że ani słowa nie przemówi, choćby go sto razy o co pytał.

Raz przyszedł z miasta i nie zastał Basi w domu.

— Co to się znaczy? mówi do siebie. Gdzie też ona chodzi? Czy nie powinna domu pilnować? Ot — prosię kwiczy w chlewie, kury chcą zachodzić do kurnika, krowa nie zamknięta, a Basi nie ma. Gderze i wygląda, aż tu Basia idzie z Marcinem.

— To tak? to tak? woła do żony, to ty sobie chodzisz z parobkiem, a ja zmęczony przyjdę do domu i ani komu łyżki strawy nie ma mi podać.

— Chodziłam do Marcinowej matki, obiecała dać mi kwoczkę do siedzenia, ale ona chora, nie ma jej komu poradzić. Więc kazałam zawołać Marcina i mówić mu, ażeby po doktora posłał.

— Szukasz wykrętu! krzyknie Jasiek mocno. Ale ci to nie pomoże. Jak ja ciebie jeszcze raz obaczę.

— Jaśku! Jaśku! wstydziłbyś się, odpowie spokojnie Basia... i zabrała się do roboty, a Jasiek nadęty złością chodził i sapał. Jak się zaciął, tak już ani słowa. Jeden dzień, drugi, piąty i szósty.

— Pójdziesz ze mną na nieszpory? pyta Basia, ale Janek ani mru-mru.

— Będziemy dziś okopywać ziemniaki?

Jasiek ani słowa.

— Możebyśmy cielaka na targ poprowadzili?

Jasiek milczy.

Popłakała Basia w kącie niejeden już raz, smuci się, radaby ten gniew odgonić, ale nie ma rady.

Tak przeszło dwa tygodnie.

Już wreszcie tego biednej kobiecinie za dużo było.

Myśli, myśli, wreszcie sobie powiada:

— Jak to nie pomoże, to chyba, aż do księdza proboszcza iść potrzeba.

Wieczór po robocie, gdy się Jasiek spać położył, Basia świecę zapaliła i chodzi po chacie, schyla się pod ławę, wciska się w każdy kąt, odsunęła skrzynię, szafę odsuwa, obrazy ze ściany zdejmuje, z kufra wszystkie rzeczy wyrzuca... Szuka na piecu, pod piecem, na szafie, w szafie.

Jasiek spojrzał raz — drugi, dziwuje się, czego baba szuka, wreszcie woła:

— Czego szukasz ze świecą po nocy?

— Twojej mowy szukałam, odpowiada Basia, już trzy tygodnie nie mówiłeś do mnie, myślałam, żeś mowę zagubił, ale oto ją znalazłam, boś do mnie zagadał.

Zawstydził się Jasiek, udał, że śpi, a rano już jak dawniej rozmawiał.

Tak mądra Basia dała sobie radę z gniewliwym mężem.

Jadwiga z Z. S.

— W takim razie wiesz pani, że nie mogłem, ani telegrafować, ani pisać. I wtedy, nie tracąc ani chwili czasu, wyznaj baronowi całą prawdę i powiedz w jakim celu jechałem do Staines. On doniesie natychmiast o wszystkiem panu Saint-John, a ten już będzie wiedział, co mu uczynić należy, i pospieszy mi na pomoc.

— Ale gdyby to już miało być za późno? — spytało dziewczę drżącym z wzruszenia głosem.

— O tem nie myślmy teraz, Stello, — odrzekł z swobodnym uśmiechem. — Ułożyłem cały plan tak starannie, że coś podobnego wcale się zdarzyć nie może.

Stella chciała jeszcze coś powiedzieć, ale on nie pozwolił jej na to.

— Nie potrzebujemy wcale rozważać nad jakiemś możliwem niebezpieczeństwem, — zawołał żywo, — nie ma to żadnego celu! Jesteśmy oboje równo zajęci tą sprawą — postanowiliśmy wykryć zbrodniarzy i musimy albo odważnie iść naprzód, albo dać wszystkiemu pokój. W każdym razie strachu nie wolno nam mieć! Ja jestem pływakiem, rzucającym się odważnie w wir fal — pani stoisz nad brzegiem i trzymasz na pogotowiu linę, która mnie przyciągnie w bezpieczną przystań w razie gdyby mnie fale pochłonąć chciały! Czy nie piękne porównanie? — dokończył, śmiejąc się.

— Jesteś pan odważnym! Jesteś bohaterem! Niech cię Bóg strzeże, — szepnęła młoda dziewczyna!

— Ale jeszcze jedno, — odezwał się znowu Hamilton. — Powierz mi pani swój pierścionek — ten, który się znajduje na palcu marmurowej dziewczynki i na twoim!

— Dlaczego? — spytała, ściągając go już z palca.

— Sam nie wiem dlaczego! Caradini i Poiton muszą go poznać natychmiast, gdy go zobaczą. Może mi się przyda w wykryciu prawdy!

Hamilton schował pierścionek do kieszeni, podczas kiedy Stella włożyła jego kartkę wizytową z adresem do portmonetki.

— Dziękuję ci, —rzekł Hamilton. — Mówiliśmy teraz o wszystkiem — a ja nie mam ani chwili do stracenia. Przywołam dorożki i każę się odwieść do domu!

Kilka minut później pożegnali się, długim, serdecznym uściskiem ręki i wymownem spojrzeniem, które zdradzało ich uczucia aż nadto wyraźnie. Oboje głęboko byli wzruszeni — mianowicie Hamilton rozumiał całą doniosłość tego pożegnania. Co im przyszłość mogła dać?

I gdy dorożka, uwożąca Stellę znikła na skręcie ulicy, stał młody lekarz długo jeszcze zamyślony i jak gdyby niepewny tego, czy rzeczywiście zająć się tą sprawą, czy dać wszystkiemu pokój i nie narażać się na niebezpieczeństwa....

Lecz po chwili otrząsnął się z zadumy i poszedł szybko do Scotland-Yord.

Tutaj dowiedział się, że dyrektora policyi, pana Saint-Johna, nie ma obecnie w domu.

— Mógłbym się widzieć z panem Scottem? — zapytał.

— Owszem!

— Wyjeżdżam na kilka dni na wieś, rzekł do młodego detektiwa, — i nie chciałbym za nic w świecie, aby się który z członków owego tajnego związku dowiedział, dokąd wyjechałem!

— To przecież bardzo jest łatwem uśmiechnął się detektiw.

— Gdy wyjadę, wyślij pan z łaski swej ten telegram do mojej gospodyni. Donoszę jej, że w tym tygodniu prawdopodobnie do domu nie wrócę. Byłbym panu również wdzięczny, gdybyś mi zechciał pomódz w zmianie mej powierzchowności, tak, aby mnie nikt nie poznał!

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Pamięci Adama Mickiewicza.

Napisał ks. Leon Formanowicz.

W latach 1830 i 1831 rozgrywała się na polskich ziemiach ponura tragedya.

Jak na odgłos dzwonka pożarnego, co jękiem bolesnym wśród nocnej, głębokiej ciszy spływa ku ziemi uśpionej, — wieś cała się zrywa, aby wyrwać z ognistej paszczy trudem i potem okupiony dobytek, — tak na hasło mężnych Belwederczyków naród się zerwał, aby otrząsnąć z siebie hańbiące niewoli pęta i obroże dławiące, co długo ruch i dech mu odbierały.

...I zadrgnęły serca żywem tętnem nadziei... i zaiskrzył się w dłoni oręż bojowy... i trysnęły jak gejzery gorącej krwi strumienie. I dużo tej krwi polskiej się polało, że aż ziemia od niej się zarumieniła! Już, już witano pierwsze błyski krasnej jutrzenki, — ale jutrzenka nie przyszła. —

Czarne, gęste chmury zakłębiły się złowrogo i opadały coraz niżej i niżej, I stało się bardzo, beznadziejnie ciemno! — Po dziewięciu miesiącach orężnej rozprawy, puls, co życie markuje, bił ledwie dostrzeżony,... zwisła pra-



ADAM MICKIEWICZ.
ur. 24. XII. 1798. um. 26. XI. 1855.

wica uzbrojona,... a rany serdeczne zasklepiły się skrzepłą krwią! Ciemiężyciel — zwycięzca przygniótł żelazem okutą stopą ciężko dyszącą pierś narodu.

* * *

Z chwilą pogromu rozegrał się drugi, stokroć smutniejszy od pierwszego dramat!

Jak dzika pantera, co skokiem błyskawicznym siada na karku zwinnej gazeli i, zatopiwszy w ciele ostre kły i szpony, ssie łapczywie ciepłą krew, — tak zwycięzca pastwil się nad zwalczonym narodem. — Rozpoczęły się orgie wściekłej zemsty — bezprzykładne w dziejach świata! Zamilkło sumienie, zamarło serce! — Pozostała tylko nieubłagana żądza zemścić się tak na Polakach, aby „*to odczuli jeszcze w najdalszej swej potomności*“ (Paskiewicz).

Przelano drugie morze krwi — i morze łez. A w morzu tem kąpały się, szatańską rozkoszą upojone, dwa upiory: car Mikołaj I. i jenerał-gubernator Paskiewicz.

Idźmy tej zemsty szlakiem!

Ograbiono z pamiątek nagromadzonych skrzętnością pokoleń — przybytki sztuki i wiedzy!

Zgaszono i zdeptano gorejącą pochodnię narodowej oświaty, a rozpalono kaganiec, co się jarzył zielonem, zatrutem światłem obcej, wrogiej myśli!

Konfiskowano majątki i rozdawano je tym, co najwięcej i najokrutniej znęcali się nad nieszczęśliwemi ofiarami!

Tysiące rodzin przesiedlono w głąb Rosyi!

20.000 ludzi nadzwyczajnym poborem zaszyto w mundur i pognano za granice Ojczyzny!

Inne tysiące pognano na Sybir!... *„I rzekł Szaman do Anhellego: oto... płakać będziemy, bo zaszliśmy do ludzi, którzy nie widzą słońca;... nadziei im dawać nie będziemy, bo nie uwierzą. W dekrecie, co je potępił, napisano było: na wieki!*

Oto są kopalnie Sybiru!

Stąpaj tu ostrożnie, bo ta ziemia brukowana jest ludźmi śpiącymi. Słyszysz? Oto oddychają głośno, a niektórzy z nich jęczą i gadają przez sen.

Jeden o matce swojej, drugi o siostrach i braciach, a trzeci o domie swoim i o tej, którą miłował sercem, i o łanach, gdzie mu się zboże kłaniało, jak panu swemu, i szczęśliwi są teraz przez sen... lecz się obudzą.

W innych kopalniach wyją zbrodniarze, lecz ta jest tylko grobem synów ojczyzny i pełna cichości.“ (Słowacki Anhelli).

A ci, co umrzeć nie mogli za wolność na polu chwały, a żyć nie chcieli w ucisku pod knutem moskiewskim, zamienili broń na kij żebraczy,

„za granice niosąc kraju
swe tułacze głowy.“
(Jan Sawa. Śpiewnik histor.)

Żegnali ukochana ojczyznę może na zawsze! — Szli w dal niepewną — sieroty bez matki! — a bezdomnym szarpała serce tęsknota nieukojona! — Przygłuszeni łoskotem gromów wczorajszych klęsk — szli podobni do cieniów z zaświata, a za nimi wlokła się jak wiedźma potworna — świadomość, że uleciała może na wieki sposobność ratowania drogiej Matki-Ojczyzny. — Zrobiło się ciemno przed oczami ich duszy! — Patrzeli na ludzi i świat przez pryzmat swojego bezbrzeżnego nieszczęścia. Z serc zrozpaczonych wypełzło jak wąż jadowity — pytanie: Któż winien naszej nędzy? któż winien, że runął gmach naszych nadziei wymarzonych, wypieszczonych?...

W pogoni za winowajcą rozbitki wzajemnie się oskarżali i piętnowali. Zawrzała namiętna wojna domowa. Hydra niezgody rozszczepiła tułaczów na obozy wrogie.. Każdy obóz swój program wywiesił, drugim pogardzając, przeklinając.

Wśród takiej atmosfery dusznej, ciężkiej niejednemu szlachetnemu duchowi życie się sprzykrzyło. — „*Ja żyw zostałem*, pisze Stefan Garczyński do Odyńca, *przecież gdybym był wiedział, byłbym śmierć przymusił. Nieszczęście nasze ogólne ciąży prawdą na sercu i umyśle, ale nie ono życie mi podkopuje. Poznałem ludzi! .. Ohydni! Ohydni!*“

Kto jednak dziwić się będzie takiemu rozstrojowi emigrantów?!

„A gdy na żale ten świat nie ma ucha,
Gdy ich co chwila nowina przeraża
Bijąca z Polski jako dzwon cmentarza,
Gdy im prędkiego zgonu życzą straże
Wrogi ich wabią zdala jak grabarze,
Gdy w niebie nawet nadziei nie widza...
Nic dziw, że ludzi ,świat, siebie ohydzą,
Że straciwszy rozum w mękach długich
Plwają na siebie, żrą jedni drugich!“
(Mickiewicz.)

Ale spod tych skarg i spod tych klątw przezierało co innego. Na dnie duszy narodu żarzyło się, choć przywalone rumowiskiem kataklizmu politycznego i rozterki wewnętrznej, pragnienie: Chcę żyć!!

* * *

Lecz któż ten mąż, który wydobędzie z ukrycia głębokiego iskrę na jaw, rozdmucha, roznieci i jak gwiazdę przed narodem zawiesi? — Któż mu będzie przewodnikiem wśród zwalisk i złomów? — Któż sternikiem na rozigranej fali losu? —

Przed obliczem rozbitego narodu stanął wieszcz **Adam**.

„Teraz duszą jam w moją ojczyznę
wcielony,
Ciałem połknąłem jej duszę:
Ja i ojczyzna to jedno;
Nazywam się Milion, bo za miliony
Kocham i cierpię katusze.
Patrzę na ojczyznę biedną,
Jak syn na ojca wpleconego w koło;
Czuję całego cierpienia narodu,
Jak matka czuje w łonie bole swego
płodu.
Cierpię, szaleję...
. . . .
Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu do łona,
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak
ojciec;
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić!“

Jak Mojżesz, ów wielki wódz narodu żydowskiego do ziemi ojców, przyniósł ziomkom swoim w chwili największej próby wykute w kamieniu prawidła życia, tak nasz wieszcz w chwili, gdy naród nasz konać się zdawał w ostatnich, śmiertelnych podrzutach, przynosi mu słowo nowego życia, katechizm narodowy, **księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego.**

„Na początku była wiara w Boga jednego i była wolność na świecie.

Ale potem ludzie wyrzekli się Boga jednego naczynili sobie bałwanów i kłaniali się im.

Przeto Bóg zesłał na bałwochwalców największą karę, to jest niewolę.

I stało się, iż gdy niewola wzmocniła się na świecie, nastąpiło przesilenie jej.

W on czas przyszedł na ziemię Syn Boży, Jezus Chrystus, nauczając ludzi, iż wszyscy są bracią rodzoną, dziećmi jednego Boga.

A wszystkie narody, które wierzyły, czy to Niemcy, czy Włochy, czy Francuzi, czy Polacy uważali siebie za jeden naród i nazwano ten naród chrześcijaństwem.

Ale królowie zepsuli wszystko i wyrzekłszy się Chrystusa, porobili nowe bogi, bałwany i postawili je przed obliczem narodów i kazali im kłaniać się i bić się za nie.

I stanęły bałwany Honor, Preponderacya polityczna, Dobrobyt, Równowaga polityczna, Zaokrąglenie polityczne — i pokłoniły się tym bałwanom wszystkie narody — zwłaszcza bożkowi nazwanemu Interesem, który wyrobiła najniegodziwsza trójca królów,

Fryderyk II., Katarzyna II. i Marya Teresa.

Ale jeden naród polski nie kłaniał się nowemu bałwanowi.

Naród polski czcił Boga, wiedząc, iż kto czci Boga, oddaje cześć wszystkiemu, co jest dobre.

Był tedy naród polski od początku do końca wierny Bogu przodków swoich.

Jego królowie i ludzie nigdy nie napastowali żadnego narodu wiernego, ale bronili chrześcijaństwo od pogan, i barbarzyńców niosących niewolę.

I szły króle polskie na obronę chrześcijan w dalekie kraje; król Władysław pod Warną, a król Jan pod Wiedeń na obronę wschodu i zachodu.

Nigdy zaś króle i mężowie rycerscy nie zabierali ziem sąsiednich gwałtem, ale przyjmowali narody do braterstwa, wiążąc je z sobą dobrodziejstwem wiary i wolności.

I nagrodził im Bóg, bo wielki naród Litwa, połączyła się z Polską, jako mąż z żoną, dwie dusze w jednem ciele. A nie było nigdy przedtem tego połączenia narodów. Ale potem będzie.

Bo to połączenie i ożenienie Litwy z Polską jest figurą przyszłego połączenia wszystkich ludów chrześcijańskich w imię wiary i wolności.

I rzekła nakoniec Polska: ktokolwiek przyjdzie do mnie, będzie wolny i równy, gdyż ja jestem wolność.

Ale trójca królów, posłyszawszy o tem, postanowiła ją zabić.

I umęczono naród polski i złożono w grobie, ale naród polski nie umarł. Tylko ciało jego spoczęło w grobie.

Dusza jego zstąpiła z ziemi to jest z życia publicznego do otchłani to jest do życia domowego ludów cierpiących niewolę w kraju i za krajem, aby widzieć cierpienia ich.

A trzeciego dnia dusza wróci do ciała i naród zmartwychwstanie i uwolni wszystkie ludy Europy z niewoli".

Oto ewangelia, jaką obwieścił narodowi wielki mocarz ducha!

Na dźwięki tej dobrej nowiny — jak spod razów różdżki czarodziejskiej — budzi się naród ze snu odrętwienia, „z chorej, bezwładnej, znużonej niemocy".

Rozwiera powieki, zatacza w krąg okiem, widzi siebie na przełęczy dwóch światów.

Poza sobą — szereg wieków, przeszłość świetna, promienna, czysta, nieskalana, jak biały puch orła. Z dumą szlachetną spogląda na etapy swego dziejowego pochodu. Nie zastygł w bezruchu, nie wegetował w półbyciu zważonej mrozem rośliny, — żył, żył prawdziwie, bo w piersi kołatało serce wielkie, szerokie.... Wznosił ołtarze całopalenia, na których dymiła się krew serdeczna ku dobru całej ludzkości.

I przed sobą widzi drogę! — Długą?... Daleką?... Któż odgadnie?!

A więc drogę... i cel...?!

Więc nie otuli go śmierć w czarne swe opony?!... Więc nie połknie go mroczny grób?!... Więc jeszcze nie Finis?!... Requiescat?!...

Nie!

Odkrywa się nowy świt!

Widzi rozcielone przed sobą dzieje ludzkości. Widzi i drogę swoją, — drogę mleczną, srebrzystą. I tam na skłonie jak łuna widnieje wielki cel;... literami z ognia wyryty napis: skojarzyć wszystkie ludy chrześciańskie w imię wiary i wolności.

Oto pielgrzymstwo narodu nakreślone wieszczym duchem Mickiewicza.

„Ale dusza narodu, pielgrzymując, zbłądzić może i byłby odwleczony powrót jej do ciała i zmartwychwstanie".

Dla tego naśladować winien pielgrzym polski żeglarzy morskich, którzy płyną za wskazaniem gwiazdy i busoli.

„A gwiazdą pielgrzymstwa jest wiara niebieska, a iglicą magnesową miłość ojczyzny".

Naprzód zatem Duszo — Pielgrzymie!

W drogę — do krainy obiecanej! Weź na siebie trud pielgrzymstwa. A chlebem pielgrzymim niech ci będzie wiara w świętość sprawy, dla której jesteś posłana, — wiara we własną, wszechmocną siłę i — duch ofiary.

„A jeśli kto z was powie: Oto jesteśmy pielgrzymowie bez broni, a jakże mamy odmieniać porządek w państwach wielkich i potężnych?

Tedy kto tak mówi, niech uważy: iż cesarstwo rzymskie było wielkie jak świat, i imperator rzymski był potężny jak wszyscy królowie razem.

A oto Chrystus posłał przeciwko niemu dwunastu tylko ludzi prostaków, ale iż ludzie mieli duch święty, duch poświęcenia się, więc zwojowali imperatora.

Nie uciekajcie się pod opiekę książąt, urzędników i mędrków cudzoziemskich. Głupi jest, kto w czasie burzliwym, kiedy chmury z piorunami ciągną, ucieka się pod opiekę dębów wielkich albo puszcza się na wodę wielką.

Niech każdy składa talent swój ojczyźnie, jako dar w skarbonę tajemnie, i nie mówiąc, wiele złożył. Przyjdzie czas, że się skarbona napełni, a Pan Bóg zapisuje, ile każdy złożył.

O ile polepszycie i powiększycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice wasze".

* * *

Oto drogie perły i klejnoty z duchowego skarbca naszego wieszcza.

Wierny ewangelii, którą głosił, podążył Mickiewicz na daleki wschód, aby pracować i walczyć dla sprawy, którą pokochał całem sercem i która zbliżyć miała pielgrzymującą duszę narodu do upragnionego celu.

I tam na obcej ziemi, w Carogrodzie, zdala od ojczyzny zabrała nam śmierć polskiego pątnika i niestrudzonego żołnierza. Było to 26 listopada 1855 roku.

Usta konającego ostatnie szeptały słowa: Powiedz tam dzieciom moim, niech się kochają zawsze!

Wypełnijmy testament Jego!

Węzłem braterskiej miłości spojeni pracujmy i walczmy przez wewnętrzne odrodzenie o lepszą, szczęśliwszą dolę!

Tak niech się stanie!

Mocarzowi pieśni.

Słowo serdeczne rzucone w pierś ludu
Jak lemiesz, który rozwala odłogi,
Rozbudzi serca i na wiarę cudu,
Hen! wzwyż na nowe wywiedzie nas drogi

. . . .

Na roli czarnej, na ojczystej roli,
Na świętej ziemi, zroszonej przez łzy
Ludu twojego w szarych dniach niedoli
Tyś stanął, Piewco...

Jak zaziemskie sny.
Tak pieśń za pieśnią płynęła z strun w duszę,
Nieciła ognie, zdwajała serc rytm,
Targała pęta i wzniecała burze
I jasny, nowy wskazywała byt!
Tyś stanął Siewcą...

Przez ojczystą rolę, szedłeś przez łany wyzłacanych zbóż
Przez one drogi pochylonych krzyży
Szedłeś na jasne, nowe wschody zórz.
Szedłeś i siałeś w pieśniach ziarna Wiary,
Siałeś Miłości i Nadziei siew.
A żeś niedoli i bólu był bliżej,
Więc zrozumiałeś sercem ludu gwary,
I sercem jąłeś snuć serdeczny śpiew.

I wyśpiewałeś mękę krwawą ludzi,
Mękę, co dusze hartuje na stal,

I do nowego istnienia je budzi,
Wiodąc na jasną i słoneczną dal.

I wyśpiewałeś ciche zbóż poszumy,
Westchnienia nocy i poszepty róż,
I nieuchwytne ziemi naszej dumy
I nieuchwytne tchnienia ludzkich dusz.

I Tyś wyśpiewał, boś Ty ucho swoje
Na piersi ludu i na ziemi pierś
Przyłożył — słuchał i wysłuchał znoje,
I z tego splotłeś oną wielką pieśń.

Jak ptak skrzydlaty, co pruje błękity,
Tak słowo Twoje żyje w pośród nas,
I na odrodzeń dusz nas wiedzie szczyty
Słowo silniejsze nad wiek i nad czas.

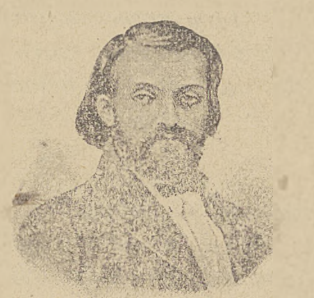
Wiedzie nas słowo, żyje, tętni w piersi,
Choć Ciebie niema, wiecznie będzie żyć,
I w pokoleniach odradzać się pieśni,
I sercem ludu dla Cię, Pieśwco, bić!

Czesław Xawery Jankowski.

Ostatni dzień życia wieszcza.

Dzień 26-go listopada roku 1855-go — smutnie zapowiadał się w Konstantynopolu. Od rana mgła zaległa nad stolicą sułtanów. Z Polaków jednak w mieście zamieszkałych, nikomu przez myśl nawet nie przeszło, że dzień ten będzie ostatnim dniem życia największego z naszych poetów.

Mickiewicz przybył do Konstantynopola dnia 27-go września. Październik był chłodny — i to głównie przyczyniło się do wywołania choroby, która prawie nagle śmiercią się zakończyła. Przed zimnem, które dokuczało twórcy „Pana Tadeusza‘‘ przeniósł się z klasztoru Lazarystów, gdzie pierwotnie zamieszkał, do domu pani Rudnickiej na przedmieściu Jeniszeri. Ale i ta kwatera nie była osobliwą. Armand Levy, towarzysz nieodstępny Mickiewicza w ostatnich dniach życia poety, w jednym z listów, pisanych do Władysława Mickiewicza, wspomina o tem wyraźnie: „Ojciec twój pod gołem niebem nie był czułym na zimno, lecz lubił stancye mocno ogrzane, a mieszkania na Pera ogrzać nie mógł; oziębienie powietrza dawało mu się uczuć dotkliwie. Był wszakże raczej źle usposobiony, niż niedomagający. Nie miał o siebie żadnej obawy, środków zaradczych nie używał.‘‘



Armand Levy.

Nietylko jednak sam poeta, — nikt z otaczających go osób nie przypuszczał możliwości katastrofy tak bliskiej. W przeddzień śmierci poeta nasz był wesół — w nocy dopiero zasłabł. O dniu tym Levy skreślił następujące wspomnienie na żądanie syna: „Twój ojciec zjadł obiad ze smakiem, pieczone kurczę i pół butelki Bordeaux, a wcale dobry okazywał apetyt. Pracował potem pewien czas nad językiem tureckim, którego się począł pilnie uczyć. O 10-tej wieczorem poszedłem mu powiedzieć dobranoc. Potem przyszedł jeszcze do mnie, by mi przynieść, jak to codziennie czynił, drugie futro na noc. Czułem się sam bardzo cierpiącym. Około północy twój ojciec wstał, aby się napić herbaty. Postrzegłem to, ale byłem tak słabym, że odwróciłem się tylko na drugi bok, nie pomyślawszy przyjść mu z pomocą.‘‘



Henryk Służalski.

Nazajutrz rano przyszedł dosyć wcześnie Henryk Służalski. Mickiewicz skarżył się przed nim, że noc spędził niespokojnie, nie zasypiając ani na chwilę. Pomimo mdłości, jakie mu dokuczały, nie tracił wesołego usposobienia. Gdy doń przystąpił Służalski z prośbą, aby język pokazał, Mickiewicz roześmiał się i odrzekł:

— Przypominasz mi mojego Józia, który w czasie choroby matki, do każdego, kto przyszedł do domu, mówił: „pokaż język.‘‘

Pomimo to Służalski domagał się wezwania lekarza i zastosowania na razie jakich środków zaradczych. Mickiewicz ociągał się:

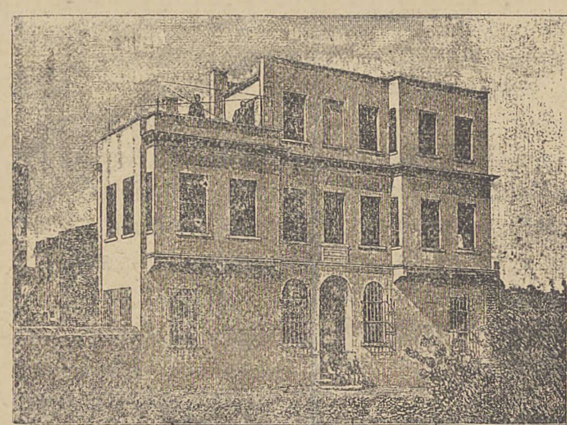
— Nie, nie!... Nie trzeba! To nic... to tylko żółć. Ot, lepiej każcie mi zrobić kawy.

Przypadłości żółciowe istotnie dokuczały poecie, zwłaszcza od czasu śmierci żony, Celiny z Szymanowskich, zmarłej w tymże samym roku dnia 5-go marca. Lewy, nie zwracając uwagi na opór Mickiewicza, poszedł po doktora Drozdowskiego. Na razie nie zastał go w domu.

Około południa przyszedł pułkownik Kuczyński. Mickiewicz długo z nim rozmawiał, przeplatając pogawędkę zwrotami pełnemi humoru.

— Kuczyński, wiesz — mówił — zacząłem się uczyć po turecku. Boję się tylko, aby się ze mną nie stało tak, jak z jednym z królów naszych, o którym kronika mówi, że już nieźle sylabizował, kiedy go śmierć zaskoczyła.

W południe znów powtórzyły się ataki mdłości. Mickiewicz położył się do łóżka i pod wpływem znużenia po nieprzespanej nocy, zasnął szybko; spał cztery godziny. Gdy się zbudził, zapytał Służalskiego, czy obiad gotów, poczem wstał, zażądał, by przyniesiono butelkę Bordeaux. Służalski, ucieszony tym objawem apetytu, uważając go za wskazówkę iż zdrowiu Mickiewicza nie grozi, wybiegł szybko z pokoju, aby przyśpieszyć obiad. Gdy jednak powrócił po upływie kwadransa, zastał Mickiewicza w łóżku. Gospodyni oznajmiła, iż zemdlał. Prawie w tejże samej chwili wszedł doktór Gębicki, uprzedzony przez Levyego o chorobie Mickiewicza. Chory tymczasem szybko wrócił do przytomności.



„Dom Mickiewicza“ w Konstantynopolu.

— Słabo mi. Czuję kurcze w żołądku. Ale to nic, to przejdzie.

Gębicki posłał po krople laudanowe do apteki. Zanim je przyniesiono, Mickiewicz głosem zupełnie przyciszonym, skarżył się na straszne cierpienie. Pierwszy Gębicki dopiero zrozumiał niebezpieczeństwo, a obawę swą zwierzył Służalskiemu.

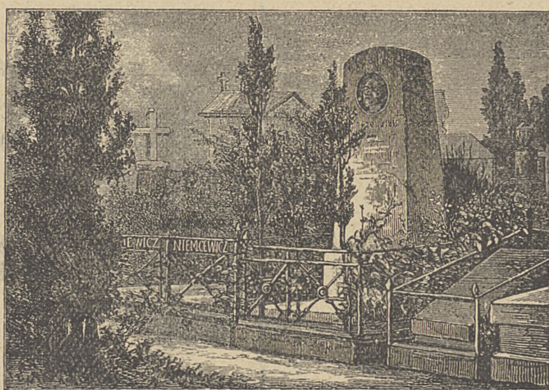
— Obym się mylił, ale zdaje mi się, że nie ma ratunku.

Służalski, kryjąc przerażenie, dodawał otuchy Mickiewiczowi. Na razie lekarstwo usunęło cierpienie gwałtowne. Ale ciało Mickiewicza zaczęło sztywnieć. Z wielkim trudem wyciągnął poeta rękę prawą i, wskazując na palce, rzekł cicho, spokojnie:

— Patrz, zgiąć ich nie mogę.

Zaczęto ogrzewać nogi wodą gorącą.

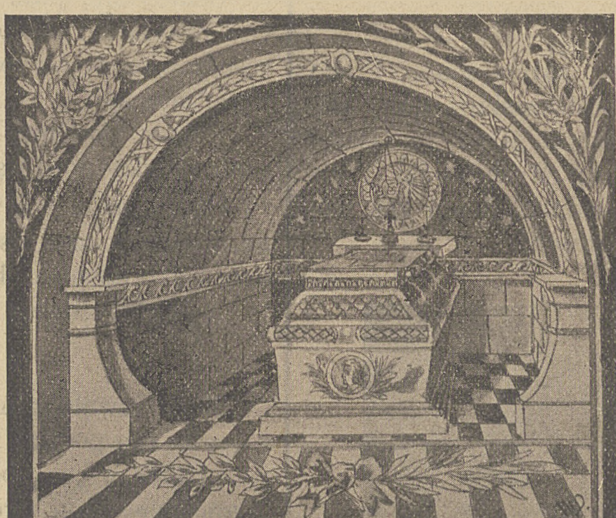
— Poślij po księdza Ławrynowicza — szepnął Mickiewicz do Służalskiego.



Grób Mickiewicza na cmentarzu Montmorency w Paryżu.

Ks. Ławrynowicz był to Żmudzin zacny, poczciwy. Cała kolonia polska w Konstantynopolu kochała go i szanowała.

Niebawem pokój, w którym Mickiewicz mieszkał od miesiąca, a który był równocześnie sypialnią, jadalnią i pracownią, zaczął się zaludniać. Jakby tknięci przeczuciem, a może przez kogo uprzedzeni, u łoża chorego poety znaleźli się doktorzy Drozdowski, Narkiewicz i Szostakowski. Zarządzono



Sarkofag Mickiewicza na Wawelu w Krakowie.

silne nacieranie, okłady gorące, i laudanum jako lekarstwo. Doktorzy zadecydowali, iż jest to objaw gwałtownej cholery, która podówczas grasowała w Kostantynopolu.

Mickiewicz nie tracił przytomności. Gdy go doktór Drozdowski nacierał, odezwał się cicho, z trudem, ale z uśmiechem:

— Oni mi skórę zedrą, jak pułkownikowi Idzikowskiemu. Ale mnie nowa chyba nie odrośnie.

Za chwilę przybył ks. Ławrynowicz, a prawie równocześnie z nim Perkowski, Duchiński i Levy. Z ks. Ławrynowiczem Mickiewicz nie mógł już rozmawiać; nie miał siły. Kapłan poprzestał więc na udzieleniu mu ostatniego Sakramentu Namaszczenia.

Mickiewicz ruchem głowy przywołał Służalskiego. Chciał mówić. Służalski zapytał, czy ma co powiedzieć dla dzieci:

— Niech się kochają... — wyszeptał z trudem, a po chwili dodał — zawsze!

O godzinie 7-ej wieczorem zaczęło się konanie. W tę porę wszedł pułkownik Kuczyński. Mickiewicz poznał go.

— Kuczyński... kozacy otomańscy...

To były ostatnie słowa Mickiewicza.

Zebrani w pokoju, w liczbie jedenastu osób, otoczyli łoże umierającego. Niektórzy, przyklęknąwszy, modlili się

Mickiewicz miał wyraz twarzy drzemiący, na pół uśmiechnięty, spokojny. Na kilka minut przed godziną 9-tą wieczorem wyzionął ducha. Wszyscy byli jakby przybici, wszystkich oczy zaszły łzami... on jeden opuszczał ten świat spokojny, uśmiechnięty.

Wieść o śmierci Mickiewicza szybko obiegła Konstantynopol i przeraziła mieszkających tam Polaków. Nikt nie spodziewał się tego ciosu. Widzieli przecież poetę parę dni temu zdrowym, pełnym energii. Zaniepokojeni w najwyższym stopniu, nie dowierzając jeszcze okropnej wiadomości, wszyscy spieszyli teraz na Jenizeri, aby przekonać się o prawdzie. Tam dopiero wobec bolesnego widoku zniknąć musiały wszelkie wątpliwości. W mieszkaniu poety, na drzwiach wyjętych i położonych na dwóch krzesłach, pośród wysokich świec woskowych, leżał w czamarce twórca „Pana Tadeusza“. Zarzucony kwiatami, w ręku trzymał krucyfiks.

W tydzień później wywieziono zwłoki największego z poetów naszych do Paryża, gdzie złożono go na cmentarzu Montmorency. Spoczywały tam przez lat przeszło trzydzieści, aż wreszcie pochowano je w miejscu najdogodniejszem, w podziemiach Wawelu. Obok mocarzy czynu spoczywa tam w śnie wiecznym mocarz pieśni.

H. M.

Początek rewolucyi listopadowej.

Z epoką powstań zbrojnych naród nasz zerwał zupełnie, a zdrowy instynkt samozachowawczy nawet najradykalniejsze partye chroni przed... samobójstwem. Niemniej przecież wykreśliwszy z programu politycznego wszelki ruch powstańczy, a przyjąwszy program spokojnej pracy kulturalnej, opartej na gruncie narodowym, nie możemy pominąć faktów, które w dziejach i losach narodu naszego ważniejszą odegrały rolę. Z tego właśnie względu i ów dzień 29 listopada, jako stanowiący w dziejach naszych porozbiorowych datę wielce pamiętną, chcielibyśmy sobie i czytelnikom naszym uprzytomnić. Zamierzamy przeto w 76 rocznicę, choć w treściwym zarysie wspomnieć o tem, co się wówczas działo w Warszawie.

Autorami rewolucyi listopadowej była właściwie garstka młodzieży, uczniów tak zw. Szkoły podchorążych, którą wciągnął do sprzysiężenia jeden z nauczycieli, podporucznik grenadyerów gwardyi Piotr Wysocki. Wyzwolenie Grecyi z pod panowania tureckiego, a bardziej jeszcze rewolucye: lipcowa paryska i belgijska w r. 1830, uwieńczone, jak wiadomo, pomyślnym skutkiem i zapowiadające wstrząśnienie ogólno-europejskie, stało się dla młodych spiskowców wojskowych bodźcem do powstania.

Na jednem z tajnych posiedzeń, w którem brali udział i cywilni (ze starszych i poważniejszych: J. U. Niemcewicz, oraz znany historyk Joachim Lelewel) wyznaczono dzień 29 listopada, jako stanowczy termin wybuchu.

Szkoła podchorążych mieściła się w jednej z oficyn pałacu Łazienkowskiego. Stamtąd o godzinie 6-ej wieczorem wyruszyła gromadka 160 młodzieży wojskowej pod wodzą podporucznika Wysockiego w stronę Solca, a około



Generał Józef Chłopicki.
naczelny dowódzca i dyktator powstania listopadowego.

200 młodzieńców cywilnych do Belwederu, gdzie mieszkał naczelny wódz wojska polskiego cesarzewicz Konstanty.

Pierwsza partya miała zdobyć koszary trzech pułków gwardyi konnej rosyjskiej, druga zaś ująć cesarzewicza. I jedno i drugie przedsięwzięcie nie udało się, a spiskowcy według poprzedniego układu, cofnąwszy się, połączyli się w parku Łazienkowskim przy moście Sobieskiego. Tu, po krótkiej naradzie, Wysocki zakomenderował:

— Marsz do miasta, zjednać wojsko i lud.

Spiskowcy, idąc alejami Ujazdowskiemi, spotykali się z różnemi oddziałami wojsk polskich i rosyjskich, maszerującemi na wezwanie ku Belwederowi. Ale jedni drugich nie zaczepiali.

Na placu Trzech Krzyży zatrzymali generała Stanisława Potockiego.

— Prowadźcie nas, generale — wykrzyknęła młodzież.

— Jesteście szaleńcy — odparł Potocki i szedł ku Belwederowi.

Puszczono go swobodnie. Do maszerujących z okrzykiem „do broni!“ młodzieńców przyłączyli się niektórzy przechodnie na Nowym Świecie i Krakowskiem przedmieściu.

Przed kościołem św. Krzyża spotkano generała Stanisława Trębickiego, komendanta Szkoły podchorążych.

— Generale, ty nas poprowadzisz — rozległy się okrzyki.

Ale Trębicki ich zgromił, rozkazując złożyć broń. Odmówiono i komendanta przemocą zatrzymano. Przed pałacem Namiestnikowskim stali: minister wojny generał Maurycy Hauke i pułkownik Filip Meciszewski. Pierwszy zaczął upominać, drugi zaś wydobył pistolet i strzelił.



Piotr Wysocki,
podporucznik gwardyi grenadyerów, na którego czele wzniecił pułk podchorążych powstanie, które wybuchło dnia 29 listopada 1830-go roku w Warszawie.

Ten wystrzał pobudził roznamiętnioną młodzież do wściekłości. W okamgnieniu Meciszewskiego i Haukego zakłuto bagnetami.

W ulicy Koziej (obecnie Junkierskiej), którą szli do Senatorskiej, spotkano karetę. Siedział w niej generał Józef Nowicki, mąż cieszący się wielkim szacunkiem. Ale ktoś go wziął przez pomyłkę za znienawidzonego dygnitarza rosyjskiego Lewickiego i padł strzał. Nowicki legł trupem.

Nie koniec na tych ofiarach. W dalszym pochodzie zostali zamordowani: prowadzony z Krak.-Przedmieścia generał Trębicki, później na Bielańskiej generał Blumer, namawiający przyłączające się już do powstania wojsko, aby się wycofało, wreszcie przybyli z Belwederu i w podobnym duchu przemawiający generałowie: Potocki i Siemiątkowski.

Była godzina 10 wieczorem, gdy sprzysiężeni zdobyli arsenał na Bielańskiej i ludności cywilnej rozdawali broń. Jednocześnie podczas pochodu podchorążych wojsko, na widok łun pożarnych na Solcu i Nowolipiu (umówiony poprzednio sygnał) występowało z koszar i zajmowało wskazane zawczasu posterunki.

Cesarzewicz w tej porze był w Alejach Ujazdowskich wśród zebranej jazdy rosyjskiej. Niebawem nadciągnął tam pod dowództwem generała Zygmunta Kurnatowskiego polski pułk gwardyi strzelców konnych, ofiarując cesarzewiczowi swe usługi.

Ostatecznie pułk ten został cofnięty i przyłączył się do reszty wojska, a cesarzewicz wojsk rosyjskich nie chciał użyć, mówiąc:

Polacy powinni wszczętą sprawę sami między sobą załatwić.

Około godz. 8-ej nad ranem walka na ulicach miasta ustała zupełnie. Płonęły tylko na placach ogniska, rozlegały się odgłosy straży i czat...

* * *

Ruch rewolucyjny z dnia 29-go listopada nie porwał zrazu za sobą, ani wszystkich wojsk polskich stojących w Warszawie, ani ogółu mieszkańców.

Mnóstwo było przeciwników powstania. Dopiero w ciągu dni następujących ruch ten spotężniał.

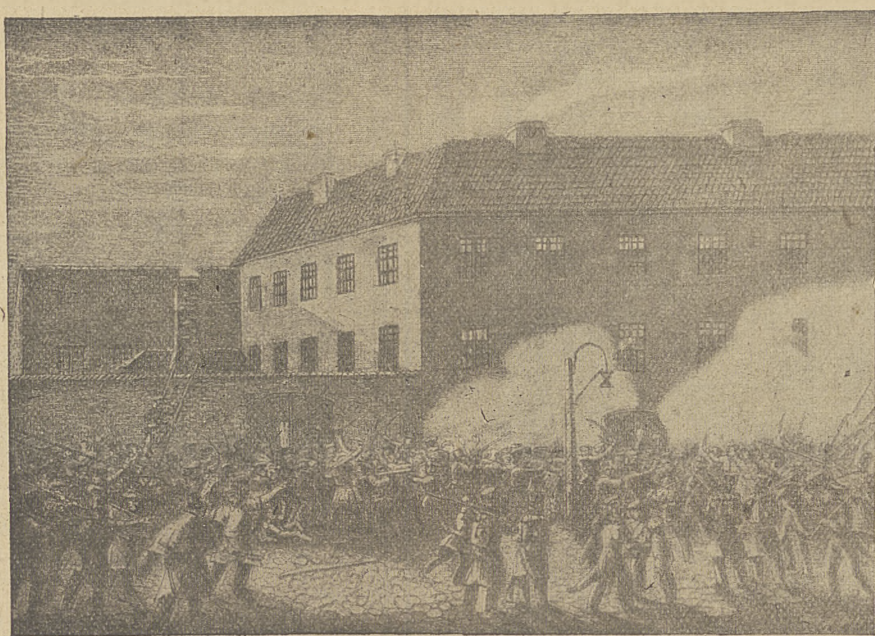
Jednakże „rząd tymczasowy w zrewolucyonizowanem mieście zorganizował się zaledwie dnia 3-go grudnia z inicyatywy księcia Adama Czartoryskiego, który zarządził zwołanie sejmu na dzień 18-ty grudnia. Przedtem zaś w dniu 5-ym grudnia objął dyktaturę Józef Chłopicki, dawny Napoleończyk.

Objął tę dyktaturę i naczelne dowództwo bez wiary w powodzenie powstania, o czem z góry wszystkich uprzedzał, oświadczając, iż czyni ofiarę ze swej osoby i przekonań, aby tylko nie dopuścić do anarchii.

Wielu wojskowych podzielało opinię Chłopickiego. Lecz porwani ogólnym prądem szli mężnie w bój, dokonywali czynów bohaterskich. Ale, ani Stoczek, Wawer i Grochów, ani wszelkie wysiłki narodowego patryotyzmu, nie mogły odwrócić nieuniknionego końca. Siła rosyjska w czwórnasób przewyższając polską, musiała w końcu złamać powstanie listopadowe.

W dniu 8-ym września 1831 roku, armia Paskiewicza weszła do Warszawy, kładąc kres walce o wolność, a co gorsza i wojsku polskiemu i konstytucyjnemu ustrojowi Królestwa. *)

Tak się zakończyła próba wywalczenia niepodległości, próba rozpoczęta w pamiętny, historyczny dzień 29-go listopada... *A. W.*



Zdobycie arsenału w Warszawie w nocy 29-go listopada 1830 roku.

Na Belweder!

29-go listopada 1830 r.

(Wspomnienie historyczne.)

Drży Warszawa pod bagnetem,
Pod kozackim batem.
Brat tam cara gospodarzy,
Co jest kata bratem.

Cały naród w trwodze żyje,
Żyje w poniewierce,
Przecież jeszcze w piersiach bije
Wierne polskie serce.

Poszły Ojce w Sybir, w śniegi,
Padły w polu sławy,
Lecz nadrośli już synowie,
Pod ten sztandar krwawy.

Lecz nadrośli już synowie,
Młodzi podchorąże,
Biada tobie, carski bracie
Biada wielki książę!

Chmurne niebo, wieczne niebo,
Nad miastem zagasłem;
Idą, idą ciemne mary,
Zwołują się hasłem...

Idą, idą ciemne mary,
Osłaniają głowę,
A w Warszawie wszystkie serca
Do boju gotowe.

Jak huragan w pałac wpadli,
Drżą szpiedzy wybladli,
Biegnie książę wystraszony
Do komnat swej żony.

Tam z ukrycia napad słyszy,
W strachu ledwo dyszy;
Tylko żona go zbawiła,
Która Polką była.

Na kobietę młodzież nasza
Nie chce wznieść pałasza...
— Żyj do czasu, książę srogi,
Wśród hańby i trwogi! —

O ty szkoło podchorążych,
O Wy serca młode,
Wy się pierwsi w bój rzucili
Za kraju swobodę!

O ty mężny Nabielaku,
Ty Wysocki dzielny,
Wyście pierwsi dali hasło
Na bój nieśmiertelny!

Jan Sawa.

*) Patrz artykuły w „Pracy" zamieszczone w roku bieżącym p. t. „Przed 75-ciu laty."

Przejście granicy pruskiej

przez oddział generała Giełguda w r. 1831.

(Patrz illustracyę albumową.)

Dnia 12-go lipca 1831-go r. generałowie Giełgud i Dezydery Chłapowski doszli do granicy pruskiej na południe miasteczka Garsden i niedaleko Gudanen rozporządzili wszystko do przejścia. Dnia 13-go lipca nastąpiło przejście korpusu Chłapowskiego w ilości 250 oficerów i 2361 żołnierzy pod bronią. Dwa dni później, 14 i 15-go lipca, generał Roland zniewolony był to samo uczynić; 361 oficerów i 3904 żołnierzy broń złożyło.

Przejście to przez granicę pruską generał Dezydery Chłapowski w swych pamiętnikach tak opisuje:

„Dnia 13-go po naradach Giełguda z pruskim landratem i oficerami, przeszły nasze oddziały granicę i zaczęły broń składać, z wyjątkiem tylnej straży.

Giełgut stał na koniu, otoczony licznym sztabem i oficerami pruskimi. Generał Roland nadchodził od Gorzd ponad granicę i przysłał Giełgudowi list od generała rosyjskiego, adjutanta cesarza Mikołaja, Delingshausen. Giełgud przeczytał wszystkim ten list, którym generał moskiewski wzywał go i prosił, by do Prus nie wchodził, ale jemu się poddał, a on mu zapewnia ułaskawienie dla wszystkich od cesarza, gdyż do tego jest umocowanym. Dodawał że każdemu po wojnie będzie wolno wrócić do domu lub służyć dalej, ale jeżeli Polacy pokażą tę nieufność cesarzowi, że w Prusiech będą szukali schronienia, cesarz nigdy im tego nie przebaczy.

Giełgud, przeczytawszy otaczającym go oficerom ten list, (o którego treści dopiero później się dowiedziałem, gdyż w owej chwili byłem przy szwadronie, który właśnie nad granicę był przyszedł), radził się wszystkich, jak zwykle, pytał, co czynić wypada, sam nic zdecydować nie mogąc.

Korpus Rolanda przeciągał właśnie za nami, wielu oficerów przejeżdżało do naszych, nasi do Rolanda. Było to zamieszanie pewne. Wtem oficer z 7-go pułku wpadł na koniu przez granicę, przejechał obok mnie aż do Giełguda, który stał z listem w ręku i strzelił do niego z pistoletu. Ugodził go prosto w serce tak, że spadł z konia i zaraz ducha oddał. Stało się to za szwadronami ułanów, którzy właśnie broń złożyli. Strzał i wrzawa ich zaraziły. Powsiadali na koń i w nieładzie zaczęli głębiej w Prusy wchodzić. Rozgniewany, widząc ułanów w debandadzie

i wstydząc się przed cudzoziemskiemi oficerami, siadłem na konia, ułanów dopadłem, uporządkowałem w szwadrony i porządnie na granicę przyprowadziłem. Już też Hempel z tylną strażą z Moskalami się ucierał i przed nimi cofał. Przeszedł granicę i broń złożył. Wszystkie cztery szwadrony bezbronne dostały jeszcze kilka wystrzałów armatnich. Wtedy wolno postąpiliśmy dalej w Prusy.

Nie mógłem mojej osoby tak wysoko cenić, żeby opuścić oddział, który wszędzie pod mojém dowództwem dzielnie sobie postępował, opuścić go kiedy położenie stawało się najprzykrzejszem. Nie wątpię, iż gdyby można było cały oddział przeprowadzić do Warszawy, byłby na zapewnienie moje mój oddział ze mną poszedł, ale kiedy z kilkudziesięciu ludźmi do wykonania to było, pasowałem się z sobą, aby jeszcze w nocy puścić się nazad w lasy. Ale byłoby to nadto miłości własnej, żebym myślał że pewno przeprowadzę, a potem że moja osoba i te kilkadziesiąt ludzi będzie wielkim sukursem pod Warszawą. Tak podzieliłem los tych, którzy go zemną dzielili. Po śmierci Giełguda pozostawała mi zresztą nad wojskiem opieka. *)

Pomaszerowaliśmy o milę ku Memlowi. Na obóz wskazał nam miejsce generał pruski na gołym piasku, ale przynajmniej nad rzeczką z czystą wodą, o trzy mile od Memla. Roland z Szymanowskim pomaszerowali ponad granicą aż ku Nowemu miastu. Tam zastawszy przed sobą część korpusu moskiewskiego, który im drogę zastąpił, wkroczyli także do Prus i stanęli obozem pod Pakmonem.

Dowiedzieliśmy się później w obozie pruskim, że Dembiński szczęśliwie się dostał do Warszawy. Wyruszywszy z Kurzan do Wiłkomierza, obszedł w koło Wilno, odparł Moskali zastępujących mu drogę i ścigających go, przeszedł Niemen, różne oddziały powstańców i Różyckiego Samuela ściągnął i znaczny korpus przeprowadził do Warszawy. Dowiedziawszy się w niewoli naszej o tym szczęśliwym ich powrocie jedni zazdrościli, drudzy się cieszyli, że tylu naszych uszło i jeszcze służyć krajowi może. Generał Dembiński zasłużył sobie na chwałę przez swój odwrót, — ale zamiast wytłomaczenia w Warszawie swoich nieszczęśliwych kolegów i objaśnienia, że i oni, kiedy się z nim rozstawali, dzieląc się, aby ujść przed tylekroć liczniejszym nieprzyjacielem, mieli nadzieję obejścia w koło jego lewego skrzydła tak, jak jemu udało się koło prawego się przesunąć, — rozumiał, że powiększy swą sławę, zostawując opinią publiczną w mniemaniu, że w Kurszanach myśmy już byli zdecydowani przejść do Prus, a on sam tylko przedsięwziął orężem przerżnąć się do Warszawy i że jemu tylko Moskale zastępowali drogę.

W pruskim obozie pod Scherwen staliśmy aż do końca września. W obozie pruskim napisałem list do mego przyjaciela Caramana, aby wyjaśnić nasze dotychczasowe niepowodzenie, przez stratę czasu Chłopickiego i że wyprawa na Litwę nie powiodła się przez niedbałość Giełguda, nie jak wówczas gazety pisały, przez oziębłość Litwinów. A to pisałem w jedynym celu służenia naszej sprawie, wiedząc, że we Francyi fałszywe mają o naszych siłach wyobrażenie. List mój posłany przez Anglię, spóźnił się w drodze i przyszedł zamiast w lipcu, w końcu sierpnia. Po wzięciu Warszawy nie byłbym pisał.

Nasi po ukończeniu wojny rozłożyli się około Królewca.

W lutym 1832-go opuścić musiałem wojsko i powrócić do domu".

*) O tej chwili pisze Mielżyński (Uwagi nad dziełami Spaciera i t. d.) „Wtedy Chłapowski uniesiony rozpaczą zawołał do otaczających „Okropniejszej chwili nie wielu ludzi mogło dożyć i nie wielu dożyje" a rzucając szablę na płot, dodał „na teraz mi nie potrzebna"

Modlitwa za cara.

Co się dzieje w Łomży?...

Co za przewina spadła na czoła mieszkańców?

Czyżby nowy bunt i powstanie?

Czyżby nowe nieposłuszeństwo i samowola?

Wszak pułkownik Zajcow, który tu od lat kilku trzymał bat nad głowami mieszkańców, umiał nauczyć pokory i cierpliwości i poddania się biernego... Wszakże ten pułkownik nawet otrzymywał nagrody i chresty za „silną rękę," a teraz dlaczego przyjeżdża jenerał Ganecki?...

Mieszkańcy Łomży zadziwieni i zaniepokojeni... Zanosi się na coś strasznego.

Jenerał Ganecki wczoraj zjechał, kazał aresztować tych wszystkich, których spotkał na ulicach, a starca 80-cio letniego kazał zbić do krwi za to, że mu się nie ukłonił...

Teraz, oto dany rozkaz, ażeby wszyscy mieszkańcy wyszli na rynek.

Jest to dzień 27-go listopada roku 1864...

Kozacy z nahajkami od domu do domu przebiegają, siekąc, bijąc i przeklinając.

— Na rynek wszyscy! Na rynek zaraz!...

Co się dzieje w Łomży?

Wszakże już powstanie stłumione, już broni nikt nie ma, już w Sybir pognano resztki, już na emigracye poszli ci, co jeszcze ujść zdołali z pod bicza moskiewskiego.

Są już tylko starcy, tylko kobiety i dzieci...

— Na rynek! wszystko na rynek!...

I żydzi i chrześcianie, i kobiety i dzieci, chorzy i zdrowi — wszyscy na rynek...

Mroźny, chmurny dzień... Niebo jak całunem żałoby pokryte. Smutek jak król wszechwładny na wszystkich czołach swe imię wyrył...

Stoją wszyscy i czekają...

Wjeżdża jenerał Ganecki w otoczeniu świty...

— Na kolana wszyscy! wszyscy na kolana! brzmi rozkaz surowy.

— Za co? na co? przed kim na kolana? Czyż to kościół, czyż ołtarz?... Przed carskim jenerałem na kolana?

— Na kolana! i śpiewać pieśń modlitwy za cara... wszyscy! za cara, za ojca, za opiekuna, za króla, za dobrodzieja!

— Na kolana i śpiewać, bo inaczej siec i bić każę, bo inaczej więzić i kuć będę...

I w tej chwili kozacy z nahajkami w tłum ludzi wpadli siekąc bezlitośnie...

Uklękli...

— Śpiewać za cara modlitwę!...

Śpiewają!...

Straszna modlitwa rozbrzmiewa na rynku Łomży — modlitwa niewolników za gnębiciela i mordercę...

Modlitwa niewinnych „bitych i skrwawionych."

Modlitwa nieszczęśliwych i skrzywdzonych...

A podczas tego, w wszystkich domach robiono rewizye i zabierano nawet — książki do modlenia...

A jednak — mimo i takich pastwien się nad bezbronnymi — — zwycięstwo nie po stronie cara!....

Wolny duch narodu — modli się inaczej.

Wspomnienie z Łomży — niech szepce nam o sile i mocy niezgnębionego narodu! *Iskra.*

Kazimierz Gliński.

Urodził się w roku 1850 w Wasylówce, w guberni Kijowskiej. Nauki początkowe pobierał w domu rodzicielskim, a mając lat trzynaście przeniósł się wraz z rodzicami do Berdy-

czowa, skąd w roku 1868 wyjechał do Krakowa, gdzie wstąpił do Uniwersytetu na wydział historyczno-filozoficzny. Tu przebył lat cztery, robiąc wycieczki na zachód i południe Europy. Powróciwszy w strony rodzinne, mieszkał czas jakiś w Żytomierzu, a potem przeniósł się na stałe do Warszawy. Pierwsze swoje prace literackie drukował w „Kalinie" Krakowskiej i „Strzesze" Lwowskiej w latach 1868 i 1869. Wydał bardzo wiele powieści, dramatów i utworów poetyckich,



Kazimierz Gliński.

w których przeważnie celuje. Na wyróżnienie zasługują: *„Gady,"* bardzo piękna i nadzwyczaj zajmująca powieść historyczna o Krzyżakach, pustoszących ogniem i mieczem ziemie nasze, której druk rozpoczęliśmy w dzisiejszym num.; *„Boruta,"* powieść; *„Obłąkani,"* tragedya w 5-ciu aktach; *„Czarodziejka,"* romans; *„Wspomnienia Tatr,"* poemat; *„Z zaklętego grodu,"* szkice fotograficzne; *„Anna Firlejówna,"* dramat w 5-ciu aktach; *„Poezye"*; *„Losy"*; *„Z życia i fantazyi"*; *„Wybór poezyi"*; *„Dwie moce"*; *„Spiżowe dźwięki."* W roku 1898 wystawiano w teatrach Warszawskich tragedyę jego *„Almanzor,"* komedyę *„Dla czego?"* i krotochwilę *„Szaławiła."*

Nie opuszczaj nas!...

(Obrazek z Królestwa Polskiego.)

(Dokończenie).

Wieczorkiem zaszedł do biednej matki, srebrnego rubla niby na cukier od kaszlu zostawił, po rękach rodzicielkę wycałował, o szlachcicu pod Rypinem, dla nieposzlaki różności naopowiadał, a we świtanie już go we wsi nie było.

Zrazu — do granicznych kopców było mu strasznie czegoś nijako. Co się obejrzy na niknącą w oddali swoją wieś, to go za serce ciśnie. Nijako — czasem to naprawdę zbierała go chęć wrócić. Ale się zawziął! łzy łykał, a szedł. Od „pasyjki", co na granicy stała, ulżyło mu się. Tu pacierz ukląkłszy zmówił, zawieszony na szyi szkaplerz ucałował, jeszcze raz na rzęd chałup popatrzył i kapelusza poprawiwszy — ruszył!

Markotno trochę, ale co tam... „Adrys" ma, pieniądze na drogę ma, gruntu dostanie, rok... dwa... a potem...



Idzi Świtała, naczelny redaktor „Pracy."

(Patrz artykuł p. t. „Pierwszy proces „Pracy" o § 110")

(Zdjęcie dla „Pracy", wykonane w zakładzie fotograficznym „Rubens", dawn. E. Mirska w Poznaniu przy placu Wilhelmowskim 3).

będą wiedzieli ludzie, dlaczego ich rzucił... będą wiedzieli... Zresztą wszystko opisze przez pocztę... dopiero będą dziwy!



Maciej Wierzbiński,

naczelny redaktor „Pracy", znajdujący się od roku. tj. od dnia 25 XI. 1905 w więzieniu pruskiem, obecnie we Wronkach.

(Patrz artykuł p. t. „Pierwszy proces „Pracy" o § 110").

I poszedł z wioski rodzinnej, ku Prusom się kierując, tego pana, co mu w Płocku na jarmarku radził, odszukać, a później za morza przepłynąć, na zamorskiej zagrodzie osiąść.

Szedł z małym tobołkiem na plecach, z sękatym kijem w ręku, z wielką nadzieją w piersiach.

„Adrys" miał, pieniądze na drogę miał, a gruntu za darmo dostanie...

Szedł i marzył. Drogi ubywało. Jasiek nóg nie żałował — pilno mu było. Szedł, ludzi o drogę nie pytając, bo w Sierpcu bywał i nie raz. Dopiero za Sierpcem, gdzie się u znajomego szynkarza przenocował, musiał pytać:

— Do Rypina?

— A no, prosto, za traktem, odpowiadali: szedł, rozglądając się po nieznanych stronach. Co trocha, to mu coś szepnie: u nas we wsi to jakoś inaczej, choć na oko niby tak samo. I zboże takie, i żyto kołyszące się i ludzie, i gaje. Niby takie, a nie takie...

Co tam!

„Adrys" ma... pieniądze na drogę ma! Byle tylko do Prus dobić. Najgorzej na granicy. Trzeba będzie „szwarcem"... Musi się kogo z tych stron poradzić. Tutejsi ludzie świadomi takich obchodów, a choćby przyszło za usługę zapłacić — zapłaci.

Już drugi dzień był w drodze. Minął Sierpiec: Bliżej jak dalej do Ostrowa, do granicy... Szedł teraz trochę wolniej, bo się i ćmiło, i pod podeszwami piekło.

Ludzie oglądali się za nim, po odzieży poznawszy, że z dalszych stron. Czasem ten i ów Boskiem słowem pozdrowił i spytał:

— A dokąd to? a po co?

Ciekawość!

Magierka wykręcał się, jak umiał. To do krewnego, co w Ostrowie służy... to do Prus na robotę (mówi) idę.

Prawdy nie rzekł. Bał się. Po co zresztą przed czasem rozgadywać.

Trza jednak było się przed kim zwierzyć, a głównie dla onego „szwarcu".

Idzie Magierka i myśli:

— Przy granicy przenocuję u jakiego gospodarza i tam się rozpytam... A do „granicy" było już niedaleko. Miarkował to po wszystkiem, a głównie po tem, że często na trakcie nieswojaka spotkał, co na „Pochwalony" ludzkiego słowa nie odrzekł.

Trzeciego dnia pod zachód słońca, spojrzał przed siebie: słupy! o stajonka jeden od drugiego. Między słupami żołnierz chodzi z karabinem! Ani chybi! granica!

Ścisnęło go coś za gardło i w piersiach zakłuło, podobnie jak wtedy, kiedy się raz ostatni na swoją wieś obejrzał. Ale szedł.

Droga-trakt kręciła się teraz w zygzakach, obciętemi wierzbami wysadzona, tuż nad granicą. W oddali widniała wieś duża. Chałupy, jak pod sznur stawiane, jedna wedle drugiej, a wedle każdej sad, drzewiny, kępa, cała wieś niby jeden wielki ogród w majowej zieleni tonąca.

Przyśpieszył kroku.

Słońce kryło się w ziemię, hen! daleko za one słupy! po drugiej stronie, po pruskiej stronie, zapadało, ryło się niby złoty lemiesz na uwrociu, między niebem zaróżowionem, a zielonemi niwami. Górą szła już szarość, dołem świecił jeszcze pasek błyszczący, mieniący się, niby halon, niby lśniący siutaś u sukmany.

Ludzie wracali z pola do wsi. Pastuchy pędzili z pastwiska gadziny wszelkiej moc, pośpieszając, z batów strzelając.

Magierce zrobiło się znowu raźniej.

— I w naszej wsi pewnikiem tak samo — pomyślał.

Przystanął chwilkę... słucha. Zadumał się czegoś, w głowę podrapał...

— Ciekawa rzecz, jak to ta w tym hamerykckim kraju? Musi być podobnie, skoro ludzie tam żyją i do pieniędzy dochodzą... Ludzie? A no... ludzie, choć pono nie wszyscy chrześcijany, bo i czarni na gębie są, a i miemiec się trafi... Niech tam! Co będzie, to będzie!

Spojrzał po sobie i przysiadł na uboczu pod wierzbą. Buty zzuł i garścią trawy z pyłu drożnego otarł, żeby się przed obcym narodem ochędożnie pokazać; sukmanę strzepnął, pod pazuchę sięgnął, czy supełek z pieniędzmi i „adrysem" ma... Znak krzyża uczynił i ruszył do onej wsi.

Idzie...

Już był w opłotkach, aliści przed siebie spojrzał, a tu na skraju wsi, pod figurą, gromadka ludzi... Przy figurze lampka płonie, głowy odkrywają, klękają....



Mecenas Jarogniew Drwęski.
(Patrz artykuł p. t. „Pierwszy proces „Pracy" o § 110").

Sięgnął i on do kapelusza.

— Pobożny jakiś naród — myśli.

Powietrzem przeleciał śpiew.

— Śpiewają... Widzimi się nabożeństwo...

Westchnął.

— Trza i mnie... Wmieszam się między ludzi... łacniej będzie się zapoznać.

Idzie...

Ludzie śpiewają, aż się rozlega. Słyszy, coś mu się ochapia... wie.



Mecenas dr. Zygmunt Dziembowski.
(Patrz artykuł p. t. „Pierwszy proces „Pracv" o § 110").

— Akurat maj! Wyszedł po św. Wojciechu dnia czwartego, w drodze był trzy dni... akurat maj!

Sunął żywiej... Przykląkł na uboczu. Ludzie niektórzy go zauważyli, ten i ów spojrzał, ale śpiewają dalej...

On bije się w piersi i wzdycha.

Pod Magierką zadrżały kolana, wargi mu się zatrzęsły, rękawem po oczach pociągnął.

Spojrzał nieśmiało po modlących.

Przodem, pod samą figurą, klęczał z książką w ręku takusieńki człek, jak Maciej Brzezinka z jego wsi! Akurat z głosu trzęsącego podobny! Obok niego kilku młodszych... gospodynie... dziewuchy... Jedna najbliżej Magierki, w pałąk zgięta, rychtyczek, Jagóśka Matuszówna! I warkocz taki sam złocistyt i chustka nawet, jakby w jednym sklepie brana...

Magierce w oczach zaćmiło... teraz wszystko w obcej wsi wydaje mu się takie, jak w jego, w jego rodzinnej! Drzewina... pola... nawet nie opodal stojąca stodoła... Takusieńką Mikołaj „z nad stoku" wystawił. Z okrąglaków... strzecha strzyżona w zęby... W oczach Magierki zaczynają latać płatki, niby motyle, niby iskry z kowalowego kowadła...

A ludzie śpiewają:

„Gwiazdo morza, któraś Pana
„Mlekiem swojem karmiła.."

Margierka rozchylił usta... I on umie! i on z innymi zaśpiewa... Podniósł na figurę oczy... Lampka płonie... Najświętsza Panienka z Boskiem Dzieciątkiem jak żywi! A Dzieciątko rączynę drobną wyciąga, prosto przed siebie, i paluszkiem wskazuje... jakby po ludziach, po chałupach wodziło.

Magierce ćmi się w oczach coraz bardziej...

Jęknął: „Gwiazdo morza..." Dalej nie mógł, zatknęło go... A ludzie śpiewają... Pieśń za pieśnią! On nie może...

Najstarszy z gospodarzy wielkim głosem rozpoczyna:

„Święty Boże! Święty mocny!
„Święty, a nieśmiertelny!"

Magierka nie może! Jemu czegoś żal! Strasznie żal! Patrzy na matkę Najświętszą, na Dzieciątko, a łzy tylko, tylko!

Chciałby z ludźmi społem... nie może. Dzieciątko jakby w stronę jego wsi wskazywało...

A ludzie śpiewają:

„Nie opuszczaj nas! nie opuszczaj nas!
„Matko! nie opuszczaj nas!"

Magierce w gardle ściska — piersią niby miechem robi... Przemógł się wreszcie. Przełknął parę razy i nagle z ust jego wybiegło zamiast pieśni łkanie:

— Nie! nie pójdę! Wrócę! nie pój-

dę! Panienko Przenajświętsza! Jezu Milusieńki, nie pójdę! wrócę....

Podniósł oczy na Panienkę, na Dzieciątko!

W piersi dłonią razy kilka uderzył, a potem jął już śpiewać za ludźmi głosem od łez mokrym...

„Nie opuszczaj nas! nie opuszczaj nas!
„Matko! nie opuszczaj nas!“

Byłby tak śpiewał bez końca — bo mu się teraz w sercu i duszy wszystkie pieśni rodzinnej wioski echem rozśpiewały.

Słońce padło za las, za pruską granicę. Modlący się ludzie poczęli się do chat rozchodzić.

Magierka jeden klęczał i szlochał. Wreszcie wstał — wydobył z zanadrza „adrys“ — cisnął o ziemię — kapelusz na ucho nałożył i poszedł.

Zdziwiła się Jagóśka Matusówna, kiedy Magierkę z powrotem ujrzała.

— Wróciłeś? A bez co? — spytała.

— Bo mi do ciebie, do swoich tęskno było — odpowiedział.

— Naprawdę?

I zajrzeli sobie w oczy...

. . . .

Kazimierz Laskowski.



O, polska mowo!

Idzie wygnana biedna sierota
Po śmierci ojca z rodzinnej chaty.
Dola sieroca gna ją za wrota,
I z ojcowizny zdziera jej szmaty.
I dokąd pójdziesz, gdy ci nie wolno
Zajęknąć nawet nutą rodową?
I dokąd — zwrócisz stopę mozolną,
O, polska mowo?

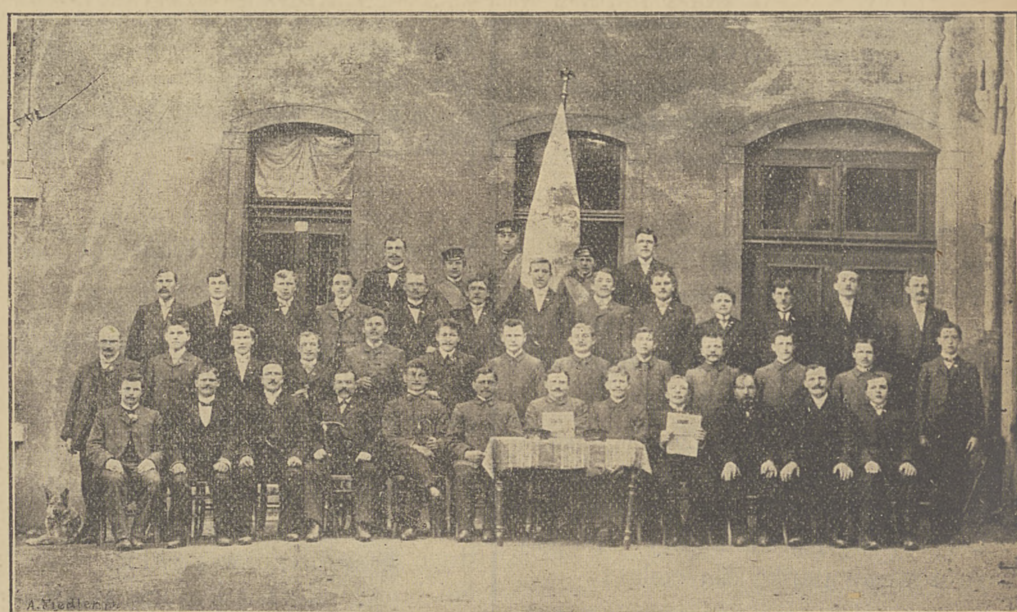
O ty wiesz dokąd — wiesz gdzie bez pieczmie
Ostać się możesz zagłady hydrze,
Wiesz nieśmiertelna, gdzie ci żyć wiecznie,
Wiesz skąd cię żadna siła nie wydrze.
Jak ze serc na świat wybiegłaś słowem,
Tak się dziś w serca schronisz na nowo:
I w nich żarzewiem ogrzejesz nowem,
O, polska mowo!

Cóż że zamilkniesz? spokój cię wzmocni.
I słowik milknie, gdy burza wyje —
Gdy zmrok panuje i ptacy nocni,
Orzeł swą głowę pod skrzydła kryje.
A przecież słowik znów zaświergoce
I orzeł głowę wzniesie na nowo,
Gdy burza minie, gdy pierzchną noce,
O, polska mowo!

Cóż że zamilkniesz? w spodlonym tłumie
Jestże do kogo ozwać się wrząco?
Choćbyś wołała — nikt nie zrozumie,
A my słyszymy ciebie milczącą.
Zbrój się milczeniem do nowych brzemion,
Boś ty za dumna na skargi słowo,
A lud twój żyje — chociaż oniemion,
O, polska mowo!

Lecz milcz poważnie, nie jęknij nawet
I nie przeklinaj w dzikiej boleści,
I nie wyzywaj zemsty wet za wet,
Bo gniew twą czystą szatę bezcześci.
Lecz brzmij w serc naszych arce przymierza
Niewysłowiona — żałosna wdowo,
Nie nutą klątwy — ale pacierza,
O, polska mowo!

Józef Kościelski.



Towarzystwo gimn. „Sokół“ w Lütgendortmund

rozwija się znakomicie pod przewodnictwem druha Stanisława Karolczaka. Istniejące na miejscu Tow. polsko-katolickie św. Kazimierza spoglądało na „Sokoła“ początkowo niezbyt chętnem okiem, lecz dzisiaj zapanowała szczerość i zgoda. Założycielami „Sokoła“ byli druhowie St. Karolczak i Karol Eckert i ich to zasługa, że dnia 13-go września 1903-go roku usłano nowe Sokołowi gniazdo. Od czasu gdy Wydział Związku popchnął Sokolstwo na nowe tory i gdy traktowani przez władze jako Towarzystwa polityczne chcemy sytuacyę tę wyzyskać, otworzyło się dla Sokoła w Lütgendortmund nowe pole działania pod względem oświatowym i samokształcenia. Sztandar gniazda, sprawiony z dobrowolnych składek, rozpostarty na ostatnim zlocie w Holandyi, przewodzi około 70 dzielnym druhom, którzy bardzo przyczyniają się do podtrzymania ducha polskości w całej okolicy. Takim pracownikom: czołem!

Jak sobie pan Kleofas poradził.

(*Podług kronik rodzinnych dziedziców Popychadła z przyległościami*).

(*Humoreska*).

Pani Kleofasowa większą część swego życia spędziła przy fortepianie i to nie jako zwykła wykonawczyni „Modlitwy dziewicy“ — lecz jako kompozytorka.

Z wiedzą, czy może bezwiednie, starała się wprowadzić do muzyki pierwiastek naturalistyczny, ztąd też tony, które tworzyła, miały z niewolniczą ścisłością naśladować szum wiatru, rżenie koni, krzyk parobków, a nawet kichanie ekonoma, który odrzekłszy się na spowiedzi „anyżówki“, za żywał tabakę z ciemieżycą białą.

Symfonja pani Kleofasowej: „Pożar w folwarku“, odegrana kilkakrotnie na imieninach kompozytorki, miała w sobie rzeczywiście coś przerażającego.

Słychać w niej było trzask walących się belek, płacz, krzyk, jęki, a nawet przeraźliwy kwik pieczonego żywcem prosięcia, co było rzeczywiście arcydziełem harmonii. Z drobniutkich, z piorunującą szybkością następujących po sobie nutek, tworzyła się tak wierna imitacya natury, że aż prawdziwe wieprze chodzące pod oknami, wtórowały jej naturalnym głosem.

Również arcyświetną kompozycyą pani Kleofasowej, była elegia p. t. „Gradobicie“, utwór pełen niezaprzeczonej oryginalności układu. W tem dziele fortepian przestawał być samym sobą, stał się natomiast werblem i trzeszczał przez dwadzieścia minut sucho, równo, miarowo, — sprawiając takie złudzenie, jak gdyby rzeczywiście gęsty i silny grad tłukł w dno pustej beczki, albo też groch sypał się na podłogę.

To były świetne rzeczy.

Że ludzkość nie poznała się na nich, nie pani Kleofasowej w tem wina, zresztą niejeden geniusz nie był oce-

niony za życia, a były też i takie, których ani za życia, ani po śmierci wcale a wcale nie znano.

W pewien piękny dzień czwartkowy, o szarej godzinie, niezmordowana artystka siedziała przy fortepianie, pracując nad nowym, jak go zwała, obrazem muzycznym p. t. „Souvenir de Kozienice".

Natchnienie do tego utworu znalazła w przejeździe przez te piękne miasteczko w dzień szabasowy.

Kilka akordów minorowych, powtarzanych w odstępach czterotaktowych, miało wyobrażać uroczystą ciszę, a po tej ciszy, lekko, jak spłoszone wróble, zrywały się pierwsze nutki majufesu, które w końcu obrazu zlać się miały w potężnym chórze.

Biedna artystka!! Biedna, niezrozumiana, niepojęta dusza wyższa! Ale któż jej winien?!

Czy kobieta wyższego polotu ducha powinna była wyjść za mąż za grubego Kleofasa, za szlachcica safandułę, który od żony wymagał, ażeby była tylko gospodynią i matką.

Ale cóż robić?! Dzieją się rzeczy niezwyczajne, są na świecie łzy i mezalianse!!

Kleofas nienawidził fortepianu i był w porządku, nie znałem bowiem w życiu ani jednego Kleofasa, któryby szanował ten harmonijny instrument.

To była prozaiczna dusza!

On umiał przerwać żonie chwilę najszczytniejszego natchnienia obrzydliwem zapytaniem: czy podlana kapusta? czy wydojono krowy? lub czy przygotowano papkę dla cieląt?

Wówczas kompozycya została przerwaną — pani kładła się na sofkę ze spazmatycznym płaczem, a Kleofas klął coś pod wąsem i patrzył na fortepian wzrokiem takim, jakim wilk zgłodniały spogląda na tłustego prosiaka.

„Souvenir de Kozienice" tworzyła pani Kleofasowa w bardzo szczęśliwych warunkach. Mąż przez cały tydzień sam pilnował krów i cieląt, sam stał przy podlewaniu kapusty i ani jednem głupiem zapytaniem nie przerywał chwil natchnionej twórczości....

Było jednak coś złowrogiego w tej ciszy... Jakiś demon osiadł na twarzy gipsowego satyra, zdobiącego kominek i zdawał się szydzić z czystej harmonii tonów, które płynęły z pod paluszków pani Kleofasowej, majestatycznie — powoli.

Zdrajca Kleofas!! On coś zamyślał...

Czyżby mu przyszło do głowy urządzić w Popychadle teatr amatorski??!

Zamknął się w swojej kancelaryi, pokoju tak zwanym dlatego, że nie było w nim żadnych materyałów piśmiennych, prócz kredy — czernił sadzami twarz ekonomowi, ubierał w maski parobków i fornali, nabijał prochem broń... widocznie wybierał się na maskaradę....

Tymczasem zapadła noc...

Kleofas już spał i chrapał, aż się rozlegało, a pani w powłóczystych batystach niby duch Rossiniego, lub Bacha, przechadzała się dumnie po obszernym salonie.

„Souvenir de Kozienice" było skończone... Rękopism spoczywał tuż obok fortepianu w pięknej, machoniowej szkatułce, spoczywał przy „Gradobiciu", „Pożarze folwarku" i przy „Głosach przepaści".

Pani Kleofasowa przeszła do swego buduaru, i usnęła...

Tak usnął Napoleon pod Piramidami — z tą tylko różnicą, że nie wysmarował sobie gęby gliceryną, jak pani Kleofasowa...

Słodkim jest sen artysty po skończonej pracy...

Śni mu się zwykle, że siennik jego wypchany jest bobkowemi liśćmi.... poduszka zasypana wieńcami... że tłumy oklaskują jego utwory...

Ale co to?!

Jakiś szmer koło domu!.. ktoś próbuje otworzyć okiennice!... ktoś rozbija je drągiem żelaznym.

— Mężu! Tatusiu ratuj... ratuj!!!

I pani w negliżu, bosą nóżką, wyskakuje z pościeli, wygląda już nie jak duch Rossiniego w powłóczystej szacie białej, lecz jak duch Rossiniowej w wielkim czepku nocnym...

Okno się otwiera...

Wpada przez nie wiatr chłodny... srebrny promień księżyca... i ukazuje się czarna, przerażająca twarz zbira...

Zbir jest uzbrojony — za nim wchodzi do pokoju kilkunastu drabów, odpychają zemdloną damę, przebiegają pokój sypialny i już są w salonie.

Pan Kleofas z dubeltówką w ręku wbiega do buduaru żony...

Strzela dwa razy do zbójców... i wzajemnie przywitany przez nich gęstą salwą strzałów, wśród błysków ognia, okurzony czarnym, gryzącym dymem prochu, otula żonę w swoje szpony i jak małe dziecko unosi ją na ręku do kuchni folwarcznej...

Oddaje biedną, ledwie żywą z przestrachu, pod opiekę wiernych, chociaż niemniej przerażonych służebnic, a sam spieszy bronić swego mienia.

— Nie, ty się nie narażaj, mężu!! — szepce żona, tuląc się do niego.

— Ale, pójdę! Oho! te huncwoty gotowi nas zrabować... Nie dam się, dalibóg nie dam!

Wyrywa się z objęć żony i biegnie.

Znowu rozlega się suchy trzask strzałów, słychać wołania, krzyki, przekleństwa.

Dziewki w kuchni płaczą straszliwym głosem, a pani w mężowskich szopach, w czepku na bakier, wzywa wszystkich męczenników i wyznawców na pomoc...

Nie śmiem przesądzać, ale zdaje mi się, że najpoważniejszy ze świętych ś-ty Hieronim roześmiałby się, widząc panią Kleofasową w tym stroju...

Po kwadransie strasznej, przerażającej trwogi, powrócił pan Kleofas i oświadczył, że już wszystko w porządku.

Zbójcy nie mogli wytrzymać gęstego ognia z lefuszówki pana Kleofasa i ze szturmaka gajowego i podali tył, pędzeni przez parobków z widłami i inną bronią ręczną, jaką można było znaleźć na prędce. Zdaje się, że nie mieli czasu zrabować kosztowności, a cenne papiery zostawili nienaruszone, co im zresztą wyszło na pożytek, gdyż w biurku oprócz wezwania od komornika — innych papierów nie było.

— Chodź, duszko — mówił do żony Kleofas — ubierz się, weźmiemy światło, zobaczymy po śladach, gdzie zbrodniarze uciekli...

Przy świetle pochodni i latarni, wszyscy wyszli do ogrodu szukać śladów zbójców...

— Tędy, panie! — krzyczał pastuszek — znać koła, wozem bestye jechali...

Przeszli przez ogród, za którym niedaleko rozciągało się wielkie jezioro. Nad brzegiem jeziora jeszcze znać było ślady, widocznie w tem miejscu wóz zawrócił, a zdobycz uniesiono na łodziach.

— Świeć na wodę! — wrzasnął pan Kleofas.

Pastuszek wdrapał się na drzewo, podano mu pochodnię, która z wysokości oświetliła tonące w zmroku jezioro.

— Zbójcy- zbójcy! — wołano z brzegu.

Rzeczywiście na jeziorze, na samym środku płynęła ogromna krypa, na której stał... fortepian!!...

— Stój, bo strzelę! — krzyczał pan Kleofas — dalej chłopcy, do łodzi! Gońcie tych zbrodniarzy!

Tymczasem zbójcy z filozoficznym spokojem przesiedli się w małe czółenko, przewrócili krypę i fortepian, wraz ze szkatułką, pełną różnych kompozycyi, poszedł na dno jeziora...

Poczem zbrodniarze już nie ścigani przez nikogo, wylądowali szczęśliwie na przeciwnym brzegu...

Rozpacz nieszczęśliwej artystki nie miała granic...

Biedna! rada nie rada, musiała zstąpić z olimpijskich wyżyn ducha i zająć się dziećmi, konopiami i oborą..

Kleofas gruby uśmiechał się złośliwie...

Nie stać go było na kupno fortepianu.

— Pociesz się jednak, duszko — mówił do żony — jak się pszenica obrodzi,kupię ci angielską gitarę..

Zdrajca Kleofas.

ry. Wybieramy zaś Anglię przed stu laty. Jest to państwo, które, jak w wielu innych sprawach, tak i tutaj było w znacznej mierze wzorem dla stałego lądu.

Przed gruntowną reformą wyborczą z r. 1832 były wybory do parlamentu angielskiego istną komedyą.

Prawo głosowania miały tam od wieków uprzywilejowane korporacye wyborcze (zgromadzenia hrabstw, korporacye grodowe i uniwersytety).

Nie mówiąc już o niesłychanem upośledzeniu Irlandyi i Szkocyi, pokrzy-



C. Kröner. **W popłochu.**
Psy łowcze pędzą za uciekającą parą dzikich świń, którą wypłoszywszy z lasu, gnają ku oczekującym na swą ofiarę myśliwym. Oto treść powyższego obrazu, który trafnie mistrz pędzla nazwał „W popłochu."

wdzoną była i przemysłowa Anglia północno-zachodnia, wszystko na korzyść uprzywilejowanej południowo-wschodniej części kraju wokół Londynu.

Z pośród tych jeszcze uprzywilejowanych ciał zbiorowych większość nie miała żadnego życia politycznego.

34 grody angielskie były to tak zwane rottenboroughs (grody zmurszałe), dawne wioski opuszczone (Beearlston posiadał jedno domostwo, Dunwich od wieków pozostawał pod wodą, Gatton był już tylko parkiem). Wiele innych zeszło do skromnej liczby mniej niż 50 wyborców; nazywano je grodami kieszonkowymi. Wszystkie domy należały do jakiegoś wielkiego posiadacza, który lokatorom swym wyznaczał, kogo mają wybrać, to też patron uważał mandaty posłów swego grodu za dziedzictwo własne, nadawał je albo sprzedawał. Inne grody zależały od rządu, który nakazywał wybierać kreatury ministeryalne. Liczono, że na 658 posłów 424 wyznaczonych było z góry przez ministeryum, albo przez 252 patronów.

Jedynie tylko zgromadzenia hrabstw angielskich i korporacye niektórych grodów znaczniejszych składały się z liczby wyborców dość wielkiej, aby mogły utworzyć istotne kolegium wyborcze; ale nawet w takich razach obywano się najczęściej bez wyborów. W dniu oznaczonym na zgłaszanie się z kandydaturą zazwyczaj stawiło się nie więcej kandydatów, niż miano wysłać posłów. Były to znakomite osobistości okoliczne; szeryfowi pozostawało ogłosić ich wybór. To właśnie nazywano wyborem bez opozycyi. Otóż większość wyborów odbywała się w taki właśnie sposób: Zazwyczaj nie bywało więcej nad 50 wyborów z „opozycyą", t. j. prawdziwych. Roku 1818 uważano kampanię za bardzo gorącą, gdyż odbywało się aż 100 wyborów z opozycyą. We wszystkich hrabstwach Szkocyi nie było ogółem nawet 3000 wyborców. W hrabstwie Butte (14,000 dusz, 21 wyborców) opowiadano sobie dzieje pewnych wyborów, na które przyszedł jeden tylko wyborca; zagaił on zgromadzenie, sprawdził listę obecnych, odezwał się, gdy wywołał siebie, obrał się na prezydenta, przemówił na rzecz wyboru własnego, poddał nazwisko swe głosowaniu i oznajmił, że wybrany jest jednomyślnie.

Wybory z „opozycyą" odbywały się podług dawnych form bezładnych. Tłumowi, zgromadzonemu przed gołem niebem, szeryf przedstawiał kolejno kandydatów, tłuszcza zaś głosowała na każdego przez podniesienie ręki wśród okrzyków i zamieszania, w czem wyborcy prawdziwi brali udział jednocześnie z niewyborcami, którzy również podnosili rękę. Była to komedya głosowania. Kandydat niewybrany miał prawo domagać się „poll," głosowania imiennego. Wtedy to zaczynało się głosowanie prawdziwe. Otwierano listę, w której każdy wyborca miał prawo głos swój zapisać. Operacya taka trwać mogła tygodnie; mieszkańcom zależało na jej przedłużeniu, gdyż w ciągu wyborów bardzo spornych cena głosów ciągle się wznosiła. Ponieważ

Wybory przed stu laty.

Wiadomą jest powszechnie rzeczą, że przy dzisiejszych wyborach do parlamentów czy do sejmów zdarzają się ciągle jeszcze nadużycia, nie mówiąc już o tem, że sama ordynacya wyborcza nie odpowiada nieraz duchowi czasu.

Nie od rzeczy więc będzie, przypatrzeć się, jak wyglądały dawniej wybo-

głosowanie było publiczne i spisywane na listę, przeto kandydaci mogli metodycznie przekupywać albo zastraszać wyborców. Kupno odbywało się otwarcie. Bywały nawet grody, wystawiające przedstawicielstwo swe na sprzedaż. Właściciele grodu dyktowali głosy mieszkańcom, lokatorom swoim. W roku 1829 w Newark książę Newcastle wypędził 587 lokatorów za to, że pozwolili sobie głosować za współzawodnikiem jego kandydata; poskarżono się w Izbie, książę zaś odpowiedział: „Czyż nie mam prawa czynić z dobrem mojem, co zechcę.“ Minister Pitt podał był myśl nieśmiałej reformy, domagając się wykupu „grodów zmurszałych,“ nie mógł jednak reformy tej przeprowadzić. Wybory pozostały sprzedajnymi, dorobkiewicze zaś, bankierzy, przemysłowcy, wzbogaceni na handlu z Indyami, współubiegając się o nabycie nazwy członka parlamentu, jeszcze bardziej podnosili cenę.

W r. 1814 większość krzeseł poselskich stanowiła już tylko własność, nabytą bądź dziedzicznie, bądź też drogą kupna. Izba przedstawicielska była tylko na pozór; było to zgromadzenie panów i milionerów, nie należących do narodu.

Humor i satyra.

Sonet listopadowy.

Zimno, dżdżysto i z drzewa na ziemię liść opadł,
Lato przeszło, już minął nawet miesiąc wrzesień,
Minął także październik, teraz głucha jesień,
Bo mamy smutny, tęskny, ponury listopad.

Myśliwy dziś jest kontent, bo już strzelby dopadł,
I szuka teraz w kniei dla siebie pocieszeń.
Szlagon plony sprzedaje i napełnia kieszeń,
I otrząsa się z długów, w które w lecie popadł.

Kontent, że go żyd wreszcie nie szarpie za poły,
Kontent, że ciągnie dochód z pełnej dziś stodoły:
Kontent, że na gorzelni tuczą mu się woły...

Śpiewa basem!... Inaczej zaś literat goły:
Gdy futro trzeba sprawić, trzeba kupić drzewa,
Więc w listopadzie cienko... „Tadeusza“ śpiewa.

* * *

Przeprowadzka.

(Z niedalekiej przeszłości).

I.

W pewnym domu mieszkał człowiek,
Słynny kształtów swych ogromem,
Nic nie płacił za komorne,
W zamian za to rządził domem.
Dwóch już przeżył gospodarzy,
Miał ich cześć i zaufanie,
Lecz gdy tylko nastał trzeci,
Wnet wymówił mu mieszkanie.
Więc zasępił człek ów czoło
Pochmurnego Zeusa wzorem,
Bowiem pragnął być w tym domu
Całe życie lokatorem.
Gryząc wargi, szarpiąc wąsy
Zaczął składać swe manatki,
By się przenieść gdzieś daleko,
Do ustronnej swojej chatki.

II.

I wyciągnął, gorzko płacząc,
Wielki kufer, a w nim na dnie
Złożył sławę wraz z szlafmycą,
Owinąwszy w papier ładnie.
Na tem złożył intryg paczkę,
Polityczną swą powagę,
Potem zwolna, żeby nie stłuc,
Militaryzm i Machtfrage.
Po kolei w wielki kufer
Kładł podobne inne rzeczy,
Praw do których i własności
Nikt mu w świecie nie zaprzeczy.
Wreszcie: „chodźmy! — rzekł do syna,
By uniknąć trosk, kłopotów,
Bo gospodarz, człek zajadły,
Komornika przysłać gotów!...“

III.

Opuścili wnet mieszkanie,
Pogrążeni w zamyśleniu —
Stary — kufer z swym dobytkiem
Na zgrzybiałem niósł ramieniu.
Nie mówili nic przez drogę,
Każdy wlókł się zadumany,
Układając pewnie w duchu
Jakiejś strasznej zemsty plany,
Z wszystkich mieszkań lokatorzy
Wychodzili wciąż z pośpiechem,
Ten przekleństwa rzucał na nich,
Ów szyderstwem, inny śmiechem.
Ten przekleństwa rdzucał na nich,
Ów wspominał ich zasługi,
Wtem ktoś krzyknął: „czekaj, panie!
„A czyś zabrał z sobą... rugi?“

* * *

Słuszna uwaga.

— Janie, dlaczego nie wyczyściłeś mi butów? Nawet moja narzeczona zrobiła mi wymówkę, że chodzę zabłocony.

Jan, (mrucząc). A mówią ludzie, że miłość jest ślepa.

* * *

Powód.

— Mężu! pokaż mi ten list! To od kochanki bo, gdyś go czytał — mieniłeś się na twarzy! Oddaj go zaraz!

— Nic dziwnego, że się mieniłem, bo to rachunek od twojej krawcowej.

Szarada.

Pierwsze i trzecie lica kobiet szpeci;
Drugie i trzecie to postrach dla dzieci.
Całość chętnie dzieci, panowie i panie
Jedzą na kolacyę, obiad i *śniadanie.*

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 1-go grudnia.

Rozwiązanie łamigłówki zamieszczonej w numerze 45.

O **D** A
A T **E** N E
C H R **O** M I T
K O O P **T** A C Y A
J A Z **Y** J O N
M U **M** I A
B **A** R

Pseudonim Jadwigi Łuszczewskiej: Deotyma.

Dobre rozwiązanie nadesłali: z *Poznania*: pp. Ewa Łukomska, L. Ludkowski Stanisław Janiszewski, *z prowincyi*: pp Zygmunt Lewandowski i Tadeusz Rychwalski z Gniezna, Stanisława Nowakowska z Leszna, Zofia Kasierowska z Inowrocławia, Irena Szałkowska z Kozłowa pod Trzemesznem, Stanisław Nowacki z Wałkowa pod Goliną, *ze Śląska*: pani Jadwiga Badura z Rożdzienia, *z Galicyi*: pani Marya Zborowska z Andrychowa, *z obczyzny*: pani Helena Mąkowska z Wolmirsleben.

Nagrodę otrzymali: pp. Zygmunt Lewandowski z Gniezna, Irena Szałkowska z Kozłowa pod Trzemesznem i Helena Mąkowska z Wolmirsleben.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

GADY.

POWIEŚĆ Z XIV WIEKU.

I.

W puszczy.

Wzrostem dąb, a siłą tur był pan na Szamotułach, Winczem zwan po imieniu, pieczętujący się starodawnym Nałęczów klejnotem, obdarzon przez króla Władysława Łokietka wielkorządztwem grodu poznańskiego za różne zasługi, jakie oddał był swojego czasu ojczyźnie najmilejszej podczas wojny pomorskiej, ze zdradliwymi brandenburczyki i wiarołomnymi krzyżaki prowadzonej. Czy z oszczepem na niedźwiedzia pójść, czy w puszczy obłędnej z samotnym żubrem się spotkać i za łeb go wziąć, i pokolebać się z nim i na ziem zwalić, niewielkiej to fatygi wymagało, jeno trochę potu i żył nabrzmienia, a choć parę żeber złamanych miał i udo brzydko rozprute przy jednej z okazyi podobnych, nie znalazłby się rycerz w Polsce całej i krajach zagranicznych, który rad byłby z panem Szamotulskim na rękę się zmierzyć, albo — jako to mówią — okoniem do niego stanąć i na gniew, nie łatwo utemperowany, narazić sie. Brat szlachcic ustępował mu z drogi, kmieć, wolny jeszcze w on czas, za czapkę się wnet imał, butny krzyżak w baranią się wełnę odziewał — (choć to z przyrodzenia już taką naturę miał, gdy siłę widział a moc) — nawet król Władysław łaskawiej z nim się obchodził i bliżej, nad inne, do poufałości z sobą przypuszczał. Dane wielkorządztwo zamąciło wprawdzie trochę we łbie panu Szamotulskiemu, odzywał się nieraz: „król w Krakowie, a ja w Poznaniu sobie pan“ — ale, że pilny był w spełnianiu poruczonych mu obowiązków i nigdy grochu nie skwasił, a brandenburczyków i krzyżaków w należnej subordynacyi trzymał i słyszał jak trawa rośnie na miedzach ziem pogranicznych: przechwałka ona, po sutych libacyach wypowiadana, choć może i doszła do ucha króla jegomości, puszczana była mimo, prawdę zaś rzec, to król podówczas niemało z Litwą i Rusią kłopotu miał, więc nie czas był do strofowania za one „sobiepaństwo“ hardego nieco pana wielkorządcę poznańskiego. W zdradą wydartem Pomorzu rozpanoszali się panowie krzyżacy, na modlę niemiecką przerabiano Gdańsk staropolski, a tu Litwa pogańskie rozpuszczała zagony i Ruś szczerzyła zęby na biały chleb ziemi krakowskiej, nie spał i Czech: niech więc „sobiepan“ buci się przy dobrem wina kielichu, byle bezpieczeństwo a spokój był ze strony sąsiadów niedobrych.

Dzień się ku zachodowi chylił, listopadowe słońce czerwienią grało, silny wiatr poruszał bezlistnymi już prawie drzew konarami i nawiewał chłód i wróżbę zimy wczesnej. Nie zamroczyło się jeszcze niebo sypkiemi płatkami śniegowymi, ale zamróz co rano na gałązkach drzew osiadała, rosy zmieniały się w kryształy gwiaździste, kałuże po gościńcach pokrywały się cieniutkiemi tafelkami lodu, które teraz pod uderzeniami kopyt Winczowego konia pękały, iście szkło kruche, wyrzucając na wierzch bryzgi wody nieczystej.

Droga wiodła przez bór sosnowy, ale i innych drzew niemało było: tu dąb twardoskóry i wyciągnął ramiona potężne, tam płaczka-brzoza rozwiała warkocze dziewicze, zgarbił się grab plamisty, wiąz rozparł się szeroko, zazłociły się zwiędłą czerwienią grona jarzębionowe, a każde z drzew onych na swoją własną nutę grało, bo pod dnia nieszpór wichr się rozhulał, i sosen kolumny, twarde piersi dębów, płaczek leśnych włos rozpleciony do szmerów, płaczu, zgrzytów i nawoływań dziwnych przymusił. Czasami z taką mocą zadął, że naraz drzewa wszystkie w jeden się chorał czwały; czasami pofolgował gniewowi i smyk swój odjął od strun tej harfy-lasu, pojedyńczym jeno drzewom grać każąc — i wtedy pomruk sosny wpadał w brzęk srebrny topoli, gder dębu ze szmerem wiązu się łączył, wyciągały się brzóz wiotkie ramiona, chwiały się jodeł głowice, szła przez bór skarga lamentów urywanych, dopóki znów wichrów pasya nie uderzyła w miechy wszystkie potężnego organu puszczy wielkopolskiej.

Koralem jeszcze słońce na zachodzie się paliło, a w lesie był już mrok szczery; czerwieniły się od pocałunków słońca dalekiego czoła sosen i jodeł, a stopy ich okrywał cień błękitny, słał się płaszcz ciemny, obramowany bronzem paproci, dzierzgany umierającymi splotami jeżyn, owiany chłodem wilgotnych wydechów nizin.

Szamotulski, rycerską opończą otulon, z którą niesforny wiatr przeróżne figle wyprawował, i raz ją kształtem fani cerkiewnej wydymał, to znów, podkradłszy się zdradziecko, na uhełmioną głowę rycerza zarzucał — jechał stępią na złocistej maści rumaku i szeptał pacierze. Koń wolno i spokojnie szedł, jakby się stosował do poważnej myśli pańskiej, czasami jeno parsknął i głowę pochylił, dwa kłęby pary białej wyrzucając, bo mróz się wzmagał w onym przedostatnim dniu listopadowym, z czego wyrozumieć łatwo, że była to wigilia świętego Andrzeja apostoła. Orszak pana Wincza w znacznem oddaleniu posuwał się za nim, tak, że gdy droga skręcała, na chwilę cały niknął, ale pospieszyć nie śmiał, bo snadź pan wielkorządzca z umysłu oddalił się, by módz w samotności większej a ducha skupieniu z Panem Bogiem porozmawiać.

Obawy zresztą żadnej nie było, bo zbójby się cofnął na sam widok postaci pana Wincza, zwierz dziki zawahałby się walkę tak udałemu rycerzowi wypowiedzieć, przy boku zresztą był miecz, pod lewą nogą ostre toporzysko klekotało, a i pięść sama śmiertelnym ciosem na kark zuchwalca spaść by mogła.

Szamotulski chwiał się lekko na koniu i psalmy mruczał:

— „Zmiłuj się nademną, Boże, podług wielkiego miłosierdzia Twojego... Okropisz mnie, gospodne, hyzopem a oczyszczon będę; omyjesz mnie — i nad śnieg ubielon będę. Słuchowi memu dasz radość i wesele — i radować się będą kości uśmierzone. Serce czyste stwórz we mnie, Boże, a duch prawy wznowi się w trzewiech moich....“

Nagle urwał, bo rumak spokojnie dotąd idący, łeb podniósł, uszy nastawił, pląsnął i zarżał.

W miejscu, gdzie się zbiegało gościńca wideł dwoje, spotkano się z podróżnym jakimś, pod którym i koń był tak samo okazały i niezgorszą kapicą okryty, a choć nieznajomy jeździec, na widok wysuwającej się z cieniów rosłej postaci pana Wincza, szerokim płaszczem wnet pierś swoją okrył — żelezce brzękło pod płaszcza tego fałdami, krzyż mignął na białej blasze pancerza, czarny krzyżacki krzyż. Na głowie i hełm być musiał, jeno go kaptur mniszy osłaniał, dodając wzrostu i tak nieułomnemu rycerzowi. Za nim jechał już ksiądz szczery, otylec niebywały, w długiej szacie zakonnej, przepasanej sznurem plecionym, zakończonym chwastami bujnymi, mimo jednak tej szatki księżej, szyi byś o zakład nie stawił, czy, pomacawszy dobrze, *misericordyi* pod tą sutanną księżowską nie znalazłbyś. Pan Szamotulski jednem bystrem spojrzeniem poznał zaców; nie uszedł też jego uwagi i znak krzyża na piersi spotkanego rycerza i chętka ukrycia znamienia tego i miecz długi, do boku przypasany.

Znać jeździec nie był rad ze spotkania się, i pana Wincza ominąć chciał, ale, że jeden już im gościniec przypadał, i zresztą Szamotulski drogę mu zajechał, rad nie rad musiał konia za uzdy ściągnąć i twarzą w twarz zatrzymać się przed panem poznańskim.

— Kto wasze? — wielkorządca zapytał.

Jeździec rzucił oczyma z pod brwi krzaczastych i sze-

ptał pod nosem jakiś pacierz niemiecki. Jadący za nim otylec snadź zaniepokoił się nieco, bo naprzód nie wysunął się, jeno końskiego ogona towarzysza swojego trzymał się, a oczy wytrzeszczył i gębę rozdziawił, która wnet dziwnie tłustym ozorem się wypełniła. Szamotulski w bok się ujął, zajechał raz jeszcze drogę, chcącemu ominąć go znów rycerzowi, i pochyliwszy się w kulbace, a przypatrując się twarzy nieznajomego, rzucił po raz wtóry:

— Kto wasze?... nie łaska coś powiedzieć — hę?... Dokąd-że to bogi prowadzą i kto ać?...

— Nie poganin, jako wy, o *bogach* wspominający — ten na to — jeno pokorny sługa Maryi, który jednego Pana nad sobą ma, Stworzyciela nieba i ziemi.

— Nie ucz-no ty mnie religii, kukło krzyżacka — zgrzytnął pan Wińcz, rozdymając nozdrza a sumiastego wąsa podkręcając. — Wiem-ci ja dobrze, że Bóg jest jeden i to we trzech osobach, a choć tego fenomenu nie rozumiem, dźgnąłbym każdego, któryby w materyi onej inne mniemanie miał. Jeżelim zaś o bogach wspomniał, manierą onoku Greci a Rzymowi starożytnemu sięgając, to dla tego, iżbyś wiedział, Niemcze niemrawy, że mi rzeczy przeróżne nie obce są i że Pana Jezusa w sercu, a Jupitera w gębie mieć można. Kto ać i dokąd? — powtórzył, obiema rękami o kolana się wspierając, a sapiąc ni to miech kowalski.

— Zali bez opowiedzenia się przez ziemie polskie przejeżdżać nie wolno? — rzucił krzyżak.

— Wy bo i ostawać w niej lubicie — pan Wincz odparł.

— Wżdy się tam tylko ostaje, gdzie jest gościnność... równa waszej! — odpowiedział Niemiec z przekąsem.

— Ale was potem i wiechciem nie wygnać, milujący gościnność naszą, goście przezacni!

— *Barbarus* chyba a nieokrzesany człek zaproszonego w dom swój wyprasza.

— Lecz gdy ten gwoździe w ściany wbijać zacznie, sługi wyganiać, a gospodarzem pomiatać — nie *barbarus* to?.. hę?... Za łeb go tedy i za drzwi!...

— Można i samemu wylecieć — odparł ze spokojem krzyżak, przesuwając nieznacznie pod płaszczem rękę prawą ku bokowi lewemu. — Lecz kto jesteście, przezacny panie, zaszczycający mnie tak miłą pogawędką?

— Wińcz z Szamotuł!...

Dłoń krzyżacka, sięgając po miecza rękojeść, ruchem szybkim cofnęła się wstecz, otyły zaś towarzysz rycerza zachwiał się tak na kulbace, że o mało na ziemię nie zleciał. Przed chwilą butny mnich-rycerz teraz uśmiechnął się, spokorniał, zmalał. Kto wie czy podziałało tak na niego groźne imię pana na Szamotulach, czy orszak nadjeżdżający, który podczas rozmowy onej zbliżył się i zatrzymał o krok jeden za panem poznańskim, czy inna jaka rzecz, która w tej chwili mu w głowie błysnęła.

Krzyżak uchylił wnet głowę, rękę odzianą w rękawicę łosiową, ruchem rycerskim do serca przyłożył i całe innym głosem już rzekł:

— Dlaczegożeście, miły panie tak długo nie pozwolili słudze waszemu nasycić się tak miłem brzmieniem waszego nazwiska?... Mrok przeszkadzał mi dojrzeć szlachetnych rysów twarzy waszej, a choć nie widziałem was nigdy w życiu, poznałbym dostojność waszą po wejrzeniu marsowem, jakiego drugiego nie masz w świecie. Jestem Wolfframm von Salzbach, biednego naszego zakonu jałmużnik, szukający osoby pewnej, od której nam mała należność przypada.

— Może Gdańsk drugi? — rzucił przez zęby pan Szamotulski.

— Przydałby się mizerności naszej — odpowiedział krzyżak, ręce, jak do pacierza, składając. — Ale miłościwy pan wasz i król i tak już *za pierwszy* zęby na nas szczerzy. Nikt nic nikomu po dobrej woli nie da, jeżeli się samemu nie weźmie.

— *O, tempora! o, mores!* — odezwał się nagle milczący dotąd otylec — i czknął.

— Wasz był? — Szamotulski rzucił.

— Nasz jest — odpowiedział łagodnie krzyżak — a zawsze większy walor ma teraźniejszość, niż przeszłość.

— Co się rozumieć ma, iż lepsza liszka w garści, niż sikora na dębie — znów jak z puzonu głos się ozwał, zakończony czkawką krótką.

Krzyżak do Wińcza się zwrócił:

— Pozwolicie, że dostojności waszej przedstawię towarzysza mojego.

Tu wskazał na człeka w księżej sukni, który wyglądał jako beczka, pracującem winem nalana, i czkał co chwila, poruszając się korpusem całym.

Zdumiewająca była okrąkłość człeka tego, globus ziemski pozazdrościć mu onej mógłby. Wygolona twarz wyglądała ni to dynia na gnojowisku zrodzona, abo lepiej, księżyc w pełni, któremu bazgrała da nos, oczy i gębę; nogi krótkie, obrośnięte tłustymi połciami sadła, nie mogły nijak opasać brzucha końskiego, rozchodziły się więc, jako dwa skrzydła wiatraka, świecąc podeszwami butów juchtowych i dwoma półksiężycami ćwieków żółtych. Jadąc, trzymał się zawżdy środka drogi, by szwanku jakiego nie ponieść od drzew i krzewów przydrożnych, a w żaden sposób już przez gęstwinę leśną przedrzeć-by się nie mógł. Nie małej też i wagi być musiał, bo ilekroć czknął tylko, gruby pod nim koń brandeburgski za każdym ugiął się razem i łbem pokręcił. Oczy zaledwie widziane były, nos ginął w masie cielska, wargi tłuste miał i obwisłe, w których coś nieustannie mlaskało. Przysłuchiwał się rozmowie: O tempora! kiedy niekiedy wtrącając, nagle czknął tak potężnie, iż myślałbyś, że kur zapiał.

— Wasze musisz z głodu tak czkać?.. — pan Wincz się ozwał.

— Z przydługiego postu, zacny rycerzu — i pragnienia.

— Święty człek — wtrącił na to Wolffram von Salzbach — zakonu naszego ozdoba. Niech wasza dostojność nie sądzi z niezwykłej korpulencyi brata tego, że jest amatorem gęsiny albo innych rzeczy tuczących. Cud widzimy, biblijny cud w owem pomnażaniu się tej substancyi cielesnej, bo każdyby z nas na wiecheć poszedł, gdyby tak skrupulatnie, jak on, świętych postów się przytrzymywał, a jeno wodą źródlaną pragnienie gasił. Przed niedawnemi czasy, opat pewnego klasztoru, człek wiary małej, przeciw niezbadanym wyrokom boskim, chcąc marny rozum ludzki postawić i fenomenowi onemu zaprzeczyć: brata naszego do siebie wziął i do Chrystusowego postu przymusił. Przez dni czterdzieści nic nie jadł i nie pił — i widzisz, wasza dostojność, co z nim się zrobiło?

— A jedz-że, na miłość boską — pan Szamotulski zawołał — bo wkrótce ci ziemi świętej zabraknie.

— Ja też myślę — odpowiedział głodomór (tu czknął) — posłuchać dostojności waszą, i — jeżeli do dom jedziecie, na wieczerzą do was się wprosić. Nie jedząc — tyję, może jedząc opadnę. Pobłogosławiłbym kuchnię miłości waszej... i piwnicę.

— Za daleko do domu mojego — pan Wincz na to — a wracać mi nie sporo, bom w objazd pogranicza ziem mi powierzonych wyruszył; lecz dworców gościnnych nie brak w Polszcze... Ale prawda! mam przy sobie na dwa spusty gorzały dobrej i bochen chleba szmalcem gęsim nadziany... Stańko! — zwrócił się do jednego ze służby — daj co na ząb głodny temu świętemu człowiekowi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



ARCYBISKUP GNIEŹNIEŃSKI I POZNAŃSKI

DR. FLORYAN OKSZA STABLEWSKI,

PRYMAS POLSKI.

(ur. 16. X. 1841, um. 24. XI. 1906)

„Album Pracy“. *Drukiem „Pracy.“*